



ODRODZENIE

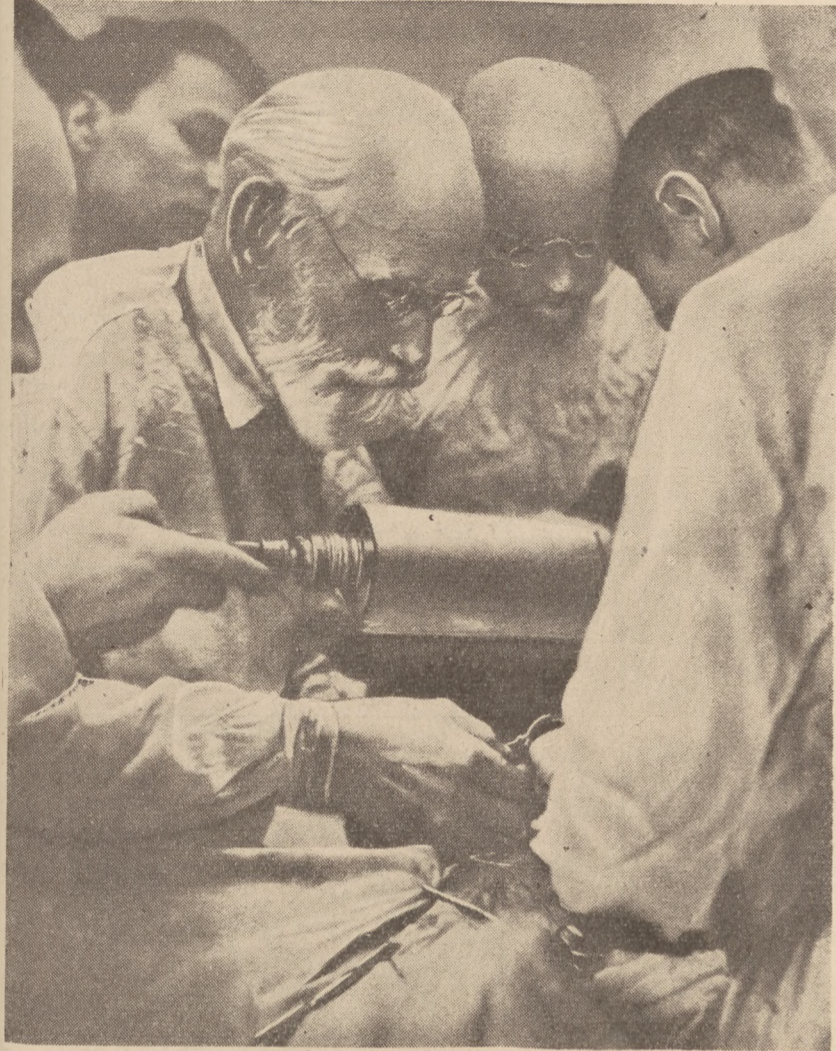
T Y G O D N I K

Redakcja:
Daszyńskiego 16
Administracja:
Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI

Warszawa, dnia 9 października 1949 r.

Nr 41 (254)



I. P. Pawłow dokonuje operacji w Leningradzkim Instytucie Medycyny Eksperymentalnej. Rok 1927

Akademik I. P. Pawłow

Listy, wypowiedzi i powitania

LIST DO MŁODZIEŻY

Jakie życzenia chciałbym złożyć młodzieży mojego kraju, która poświęca się nauce?

Przede wszystkim — życzę jej konsekwencji. O tym najważniejszym warunku skutecznej pracy naukowej nigdy nie potrafię mówić bez wzruszenia. Konsekwencja, konsekwencja i jeszcze raz konsekwencja. Już w początkach pracy nauczycie się surowej konsekwencji w gromadzeniu wiadomości.

Poznajcie elementarz nauki, zanim będziecie usiłowali wdrzeć się na jej szczyty. Nigdy nie wstępujcie na dalsze stopnie, zanim nie poznacie poprzednich. Nigdy nie próbujcie zamaskować niedoborów swoich wiadomości choćby najśmielszymi domysłami i hipotezami. Jakkolwiekby radował się wzrok wasz blaskiem tej mydlanej bańki, bądźcie pewni, że musi ona pęknąć i że nie pozostawi wam nic prócz wstydu.

Nauczcie się opanowania i cierpliwości. Nauczcie się wykonywania czarnej roboty w nauce. Studiujcie, zestawiajcie, gromadźcie fakty.

Jakkolwiek doskonale byłoby skrzydło ptaka, nigdy nie potrafimy ono unieść go w górę, jeśliby nie opierało się na powietrzu. Fakty — to powietrze uczoności. Bez nich nie potraficie wzbici się w górę. Bez nich wszystkie wasze „teorie” to daremne wysiłki.

Ale, studiując, eksperymentując, obserwując, starajcie się nie pozostawać na powierzchni faktów. Nie przeobrażajcie się w kolekcjonerów faktów. Starajcie się wnikać w tajniki ich powstania. Szukajcie uporczywie rządzących nimi praw.

Druga rzecz — to skromność. Nie bądźcie nigdy, żeście wszystko poznali. I jakkolwiek wysoko was cenią, zawsze miejcie odwagę, aby powiedzieć sobie: „Jestem ignorantem”.

Nie pozwólcie opanować się pysze. Ona to sprawi, że będziecie upierać się wówczas, kiedy należy się zgodzić, że odrzucić pożyteczną poradę i przyjąć pomoc, że zatracić miarę obiektywizmu.

W tym kolektywie, nad którym kierownictwo przypadło mi w udziale, o wszystkim stanowi atmosfera. Wszyscy jesteśmy zaprzęgni do wspólnej sprawy i każdy posuwa ją naprzód w miarę swoich sił i możliwości. Często nie można się tu nawet zorientować, co „moje”, a co „twoje”. Wspólna nasza sprawa zyskuje jednak na tym.

Trzecia rzecz — to pasja. Pamiętajcie, że nauka wymaga od człowieka ofiary całego życia. Gdybyście rozporządzali nawet dwoma żywotami, nie starczyłoby wam ich. Nauka wymaga od człowieka dużego napięcia i wielkiej namietności. Bądźcie namiętni w waszej pracy i w waszych poszukiwaniach!

Ojczyzna nasza otwiera szerokie pole przed uczonymi i należy przy-

znać, że hojnie wprowadza się naukę w życie naszego kraju. W najwyższym stopniu hojnie!

Cóż mówić o sytuacji młodego uczoności u nas? Przecież to i tak jest jasne. Daje mu się dużo, ale i wymaga się niemało. A dla młodzieży, zarówno jak i dla nas — jest to sprawą honoru, aby sprostać tym nadziejom, jakie pokłada w nauce nasza ojczyzna.

Z LISTU DO LENINGRADZKIEGO TOWARZYSTWA FIZJOLOGÓW IM. I. M. SIECZONOVA.

Leningrad, 14 października 1934 r.

Tak, rad jestem, że — wspólnie z Iwanem Michajłowiczem (Sieczonowem, przyp. red.) i z ekipą moich drożych współpracowników zdobyliśmy dla potężnej dziedziny badań fizjologicznych — zamiast dotychczasowej połowicznej wiedzy — cały organizm żyjący. Jest to nasz czysto rosyjski wkład w naukę światową, i w myśl ogólnoludzką.

MOWA WYGŁOSZONA NA PRZYJĘCIU WYDANYM PRZEZ RZĄD DLA DELEGACJI XV MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU FIZJOLOGÓW, 17 SIERPNIA 1935 R. W WIELKIM PAŁACU KREMLOWSKIM.

Stydziliście i widzieliście (mówi Pawłow, zwracając się do cudzoziemskich gości) w jak wyjątkowo korzystnej sytuacji znajduje się nauka w mojej ojczyźnie. Stosunki, jakie istnieją u nas między rządem a państwem, chciałbym zilustrować jednym tylko przykładem: my, kierownicy instytucji naukowych, jesteśmy po prostu niespokojni i zartwożeni, czy będziemy w stanie wykorzystać w pełni te wszystkie środki, które daje nam do dyspozycji rząd. (Tow. Mołotow z miejscy: „Jesteśmy pewni, że w pełni wykorzystacie!”). Burzliwe oklaski). Jak wiecie, jestem eksperymentatorem od stóp do głów. Całe moje życie składało się z eksperymentów. Nasz rząd jest również eksperymentatorem, tylko znacznie wyższego rzędu. Gorąco pragnę żyć, aby zobaczyć triumfalne zakończenie tego historycznego eksperymentu społecznego. (Wśród burzliwych oklasków obecnych I. P. Pawłow wygłasza toast na cześć „wielkich eksperymentatorów społecznych”).

ODPOWIEŹ NA MOWY POWITALNE, WYGŁOSZONE PODCZAS POBYTU W MIEŚCIE RIAZAŃ, W SIERPNIU 1935 R.

Chcę powiedzieć, że i dawniej zdarzały się wypadki uroczystego przyjmowania ludzi nauki. Ale przyjęcia te odbywały się w ciasnym kręgu ludzi tej samej — by się tak wyrazić

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

LENINO

I

O pierwszym boju opowieść
jak meldunek niech będzie prosta.
Przed nocą oficerowie
w okopach czytali rozkaz.

A noc wschodziła mglista
z bagien nad rzeczką Miereją.
Przy dziale artylerzysta
czuwał, od szronu siwiejąc.

Pod galeziami czołgi
w glinie grzęzły rozkiszłej.
A były te czołgi znad Wolgi,
a miały dojść do Wisły.

Mówili oficerowie:
będzie Polska jak chleb dorodna.
Mówili: ujrzyćcie różowej
blask racy. To sygnał — ognia!

Szła na pozycję zziębnięta
piechota pod niebem czarnym.
Drzemały na sianie dziewczęta
w baonie sanitarnym.

Gwarzyli pod „płaszcz-pałatką”
przeciwczołgowi strzelcy.
Wspominali riazzańskie lato
i gwiazdy w Sielcach.

Wspominali tę Polskę nad Oką
małą jak pieść.
Bo to Polska była na oko:
sosny i piasek. I pieść.

O życiu szeptali, o śmierci,
o dziewczynie, o dalekich miastach
i o szosie szmarzalej w zamieści,
a szosa się zwała „warszawska”.

II

Pierwszy batalion
przez bagna przebrnął:
ludzie z Modlina,
ludzie znad Ebro,

ci co w madryckich
bili się parkach
i z fortu Bema
brać robociarska.

dynamitardzi
z Guadalajary
i ci z wrześnieowej
piechoty szarej.

i ci spod Kutna
chłopi bezrolni
i komuniści
z barykad Woli —

— kategorii, ludzi nauki. To, co widzę teraz, zgola nie przypomina tych ciasnych jubileuszów: cześć nauce oddaje teraz u nas cały naród. Widziałem to dziś rano, zarówno przy powitaniu na dworcu, jak i w kołchozie, jak i w chwili mego przyjazdu tutaj. Nie jest to przypadek. Myślę, że się nie omyli, jeżeli powiem, że jest to zasługa rządu, stojącego na czele mojego państwa.

Dawniej nauka była oderwana od życia, i obca ludowi: teraz zaś widzę coś zupełnie innego: naukę szanuje i ceni cały naród. Podnoszę puchar i piję za jedyny rząd na świecie, który tak ceni naukę i tak gorąco ją popiera — za rząd mojego kraju.

O PERSPEKTYWACH PRACY W 1935 R.

Jestem teraz na odpoczynku w moich ukochanych Kołtuszach i bardzo, bardzo chciałbym żyć jeszcze długo... chociażby do stu lat... a nawet dłużej!...

Mam ochotę żyć tak długo, ponieważ moje laboratoria rozkwitają w sposób niebywały. Władza radziecka ofiarowała miliony na moje prace naukowe, na budowę laboratoriów. Pragnę wierzyć, że te środki, przedsięwzięte dla zachęty pracowników fizjologii (a ja wciąż jeszcze pozostaję fizjologiem), dopną swego celu, i że moja nauka rozwine się szcze-

gólnie pomyślnie na rodzimym gruncie...

Cokolwiekbym robił, zawsze myślę o tym, że w ten sposób służę — w miarę swoich sił — swojej ojczyźnie.

W ojczyźnie mojej odbywa się teraz wspaniała społeczna przebudowa. Usunięto złąk przepaść między bogatymi a biednymi. Pragnąłbym dożyć tej chwili, gdy zobaczą ostateczne wyniki tej społecznej przebudowy...

Olbrzymie osiągnięcia władzy radzieckiej polegają również na niestannym wzmocnieniu obronności kraju. Chciałbym żyć możliwie jak najdłuższą tak i dlatego, że spokojny jestem o bezpieczeństwo mego kraju.

LIST DO WSZECHDONIECKIEGO ZŁOTU MISTRZÓW WĘGLA

Szanowni górnicy! Przez całe życie lubiłem i lubię pracę umysłową na równi z fizyczną; tę drugą może nawet bardziej. Szczególnie zaś czułem się zadowolony, kiedy potrafiłem ją wzbogacić jakimś pięknym pomysłem tj. kiedy udało mi się połączyć głowę z rękoma.

Wy jesteście na tej drodze. Z całego serca życzę wam, abyście dalej kroczyli po tej drodze, która, — jedyna — zapewnia szczęście człowiekowi.



szli do natarcia
wyprostowani

a dym się klebił
nad okopami,
w drutach jak woda
szemrała wieść:

pierwszy batalion
szturmuje wieś.

III

Przerwała dywizja Kościuszki nieprzyjacielską obronę. Wypelży czołgi z parowu i polem walily zielone jak wędrujące pagóry. Dudniła artyleria jak burz dywizjon cały. Od rosy już ciemniał niemiecki moździerz, wtłamszony w białoruską ziemię. miotali się faszyci. Poranny wiatr oniemiał słuchając wrasku „Katusz”. Dym wstawał podobny sosnom biegli żołnierze przez łąkę a każdy trzymał się prosto jak kłos pszenicy dojrzały. Nowiutką mieli broń, za nimi — armat setki, ognia, wolano, „agoń”, nieboskłon bombowców pełny, ze słońca jak z rany krwawił. Prowadziła p'echurów, samoloty wiodła, sterowała czołgami — /nienawiść.

IV

A kiedy przez różową mgłę
do szturm bieglży pulki,
brawa zerwały się z KP
jak wiosną z gniazd jaskółki.

To zwykła rzecz: oklasków lot
pod żyrandole w teatrze.
Ale czy przedtem widział kto,
że się walcącym klaszcze?

Odblysnął w generalskich szkłach
zuchwały Pierwszej atak:
przy salwach dział, przy salwach braw
na wielkiej scenie świata.

V

Niepotrzebny cokol z granitu,
niepotrzebny brąz ani marmur.
Służyła Aniela Krzywoń
w baonie sanitarnym.

A była jak malina przy drodze —
w zakurczonym niby liście drelichu.
Miała chłopca takiego sobie,
podporucznika polwychu.

Lubiła korale czerwone
i niebieskie jak rzeka chustki.
A ręce miała złote,
czule ręce sanitariuszki.

Mówiła, jak mówią wszyscy:
poszlabym w ogień. I poszła.

Ratując dokumenty sztabowe z płonącego
zamochnodu, poległa Aniela Krzywoń.
To nie kamień niech opowie o niej,
ale wiatr wszędobylski jak poczta.

VI

Ze wszystkich kropel krwi, przelanych wspólnie od Lenine do „Unter den Linden”
ze wszystkich kropel wody, dzielonych sprawiedliwie, gdy pusta [była manierka,
z każdego niedopalka, wypalonego wspólnie, gdy tytoń się kończył [w kapiuchach
wyrosła jak wielkie drzewo serdeczna przyjaźń żołnierska.

ALEKSANDER GRIBOJEDOW

przełożył JULIAN TUWIM

BIADA ROZUMOWI

(Pięc scen aktu drugiego)

SCENA 1

Famusow, Służący.

FAMUSOW

Pietrusza! wiesz z dziurą nową,
 Na lokciu dziś... Weź-no kalendarz. Tak.
 I czytaj, nie jak byle diak,
 Lec z sensem, z miarą, uczuciowo.
 Nie, czekaj. Gdzieś na boku zapisz,
 Przy wtorku... przysług... zapisz, że
 Praskowia Fiodorowna mnie
 Na pstrągi zaprosiła. Jakież
 Dziwne porządki na tym świecie!
 Pofilozofuj — w głowie się zakreśl,
 Tu dieta, a obiadek nęci,
 Jesz trzy godziny, a trzy doby gnacie.
 Zanotuj też, że w ten sam wtorek... Nie:
 We czwartek — pogrzeb. Och, człowieczy rozdiel!
 Wartałoby pamiętać codziennie,
 Że każdy musi wleźć do owej skrzynki,
 Gdzie ani stanąć, ani siąść...
 Lecz kto pośmiertnej pragnie chwały za uczynki,
 Ten z nieboszczyka winien przykład wziąć:
 Kuźma Pietrowicz był, dla zasług, szambelanem,
 Ba, z kluczem, i dla syna umiał zdobyć kluczyk...
 Bogaty sam, i żonę wziął ze znacznym wianem.
 Doczekał się żonatych wnuków, wnuczek.
 Umarł. I wszyscy z żalem wspominają
 Talenty jego i zasługi.
 Jakie w tej Moskwie tuży żyją, umierają!...
 Zapisz: we czwartek (niech już jedno z drugim),
 Może w piątek?... w sobotę?... uroczystość inna:
 W obrządku chrzcizu w wdowy pewnej uczestniczę.
 Nie urodziła jeszcze, ale jak obliczę,
 To już powinna.

SCENA 2

Famusow, Służący, Czackij

FAMUSOW

A, Czackij, witam, siadaj. Co dobrego?
CZACKIJ
 Zajęty pan...
FAMUSOW
 Nie szkodzi.
 (Daje służącemu znak, by wyszedł)
 (Służący wychodzi).
 Ot, zapisuję to i owo, bo bez tego
 Pamięć zawodzi.
CZACKIJ
 Niewesoł pan, jak widzę, zatroskany.
 Mój przyjazd nie na rękę może?
 Czy też, broń boże,
 Coś z Sofią Pawłowną?... bo jakież powód zmiany?
FAMUSOW
 Też wymyśliłeś, mój kochany!
 Niewesoł! Gdzieżeś widział takie cudy,
 By człowiek w moim wieku puszczał się w prysyudy?
CZACKIJ
 Nikt tego nie wymaga. Chciałem tylko przeciw
 O zdrowie Sofii Pawłowny zapytać...
FAMUSOW
 A niech że cię!...
 Tfu! bez obrazy.
 Ciągłe w kółko to samo, pięć tysięcy razy!
 To Sofia Pawłowna najurodziwsza w świecie,
 To znów, jak Sofia Pawłowna ze zdrowiem?...
 Co? Spodobała ci się? Powiedz.
 Zjeżdżiles świat i żenić chcesz się, he?
CZACKIJ
 A pan dlaczego wiedzieć chce?
FAMUSOW
 Nie zawadziliby na pewno
 Zapytać mnie.
 Zawsze-c to ona jakąś moją krewną.
 Przynajmniej fama z dawną głosi,
 Żem ojciec jej. Nie bez powodu, wierzę.
CZACKIJ
 A gdybym tak o rejce jej prosił,
 Co by mi pan powiedział?
FAMUSOW
 Szczęrze:
 Powiedziałbym, po pierwsze, rzuc chimery próżne,
 Dbaj o majątek, póki dechu w piersi,
 A przede wszystkim: posłuź! urząd poznaj, służbę!
CZACKIJ
 Służba może i nęci, lecz służalczość mierzi.
FAMUSOW
 Ot-to-to! Wszyscyście zarozumiały!
 Każdy z was, jakby polknął kij.
 Z ojców by wzory brać. A co robili starcy?
 My na ten przykład, lub nieboszczyk stryj,
 Maksim Pietrowicz. Co tam srebro! Gorzej:
 Na złocie jadał! setka ludzi na usługi!
 W orderach cały! jeździł tylko cudziem!
 Przy dworze cały wiek, ba! i przy jakim dworze!
 I jaki wiek! nie to, co ninie...
 Imperatrycy służył,
 Katarzynie!
 A dostojnicy! Strach! Czerdzięści pudów każdy.
 Choćbyś się klaniał w pas — nie kiwnie, taki ważny.
 A jeszcze kiedy kto w specjalnych łaskach był,
 Inaczej jadł, inaczej pił.
 A stryjek! Co mu kniaż, czy graf?
 Z wejrzenia — Mars, z obejścia — paw,
 A nawet on, gdy wiedział, że mu się to przysła,
 Umiął się zgiąć — i jak! z przegięciem i z dogięciem!
 Raz na przyjęciu dworskim tak się potknął bidak,
 Ze już-już kark by skręcił.
 Jęczy i stęka, ale na pociechę
 Najmłodszy zaszczycony był uśmiechem.
 Raczono śmiać się, i co stryjek?
 Wstaje, obciąga się, i taki pokon bije,
 Ze — już umyślnie — sam o ziemię trzaśł.
 Śmiech coraz większy, więc on trzeci raz!
 He? I co, młodzi? Bo, jak dla nas, sprytnie.
 Upadł — bolało, wstał — przestało.
 Kto, za to, w dworskich kołach znany jest zaszczytnie?
 Kto otoczony czcią i chwałą?
 Maksim Pietrowicz! Kto z możnymi w wista gra?
 Maksim Pietrowicz! Któżby?
 Kto ci wyrobi awans? Emeryturę da?
 Maksim Pietrowicz! Tak! A wy... dzisiejsi... cóż wy?
CZACKIJ
 Tak, w samej rzeczy, świat głupiże.
 Westchnijmy. Niech to żal nasz zmniejszy.
 I gdy porównać dawne dzieje
 Z naszymi, z wiekiem teraźniejszym:
 Choć świeża pamięć, już się nie chce wierzyć.
 Ze słygnął ten, co niżej zgiąć się zdolał,

Ten, który czołem brał, nie nadstawiając czoła,
 Lecz o podłogę umiał nim uderzyć.
 Kto musiał, ten, choć legł, uważał to za cześć,
 Możnym umiano zaś z pochlebstwa więcej pleść.
 Rządzili wiekiem: strach i uniżoność,
 A wszystko to pod maską gorliwości,
 Dla tronu ponoć...
 To nie o stryju. Pokój mu na wysokości.
 A dzisiaj — kłóży się potrudził,
 W służalstwie, nawet najzarliwyszim,
 Zarobić sobie uśmiech ludzi,
 Kark poświęciwszy?
 Lecz równieścinek poniekiedy,
 Co ledwo stare kości włókił,
 Widząc ten skok, wyskoczył chciał ze skóry
 I wzdychał: ach, gdybym to ja tak mógł!
 I choć są wszędzie amatorzy,
 Lizusy, do podłostek skorzy,
 To śmiechu się dziś boją, na wodzy trzyma wstyd,
 I ślaby na nich dzisiaj zbył
 Nawet przy dworze.

FAMUSOW

To karbonariusz! Ach, mój Boże!

CZACKIJ

Zmienił się świat! Co było, to odeszło.

FAMUSOW

On niebezpieczny jest!

CZACKIJ

Swobodniej każdy dyszy!
Do pułku błaznów mu nie spieszo —

FAMUSOW

Ach, co on wygaduje! A gada tak, jak pisze.

CZACKIJ

Bałuszyć oczy na patrona,
 Poszurgać nóżką, milczkiem obiad zjeść,
 Gdy co upuści, to podnosić,
 Uważać sobie to za cześć! —

FAMUSOW

On chce po prostu wolność głosić!

CZACKIJ

Dzisiaj — ten na wsi, ten w podróży...

FAMUSOW

Po prostu władzy nie uznaje!...

CZACKIJ

Ów — sprawie, nie osobom służy...

FAMUSOW

Jabym za takie obyczaje
 Zamykał takim panom wjazd
 Do pryncypalnych miast!

CZACKIJ

Już panu spokój daje...

FAMUSOW

Nie do zniesienia! nie do wiary!

CZACKIJ

Zganilem pański wiek, ten stary,
 Niemiłosiernie. Teraz niech zobaczę,
 Jak pan odrzuci część — i nas
 Obarczy nią, dzisiejszy czas...
 Zapewniam pana — nie zapłaczę.

FAMUSOW

Rozpusta! Znać cię nie chcę. Precz!

CZACKIJ

Dodałem, że... Za pozwoleniem,

FAMUSOW

Zatkałem uszy! Pleciesz!

CZACKIJ

Niczym ich nie obrażę przecie!

FAMUSOW

Ot, pokolenie!
 Baki to zbija, tłucze się po świecie,
 Więc, kiedy wraca, czego się spodziewać?

CZACKIJ

Już nic nie powiem.

FAMUSOW

Nie chcę znać!

CZACKIJ

Pocóż unosić się i gniewać?

FAMUSOW

Och, duszę mi zamęczy śnać!

FAMUSOW

Przypiękaj cię, pocujesz swąd!

CZACKIJ

Niech pan posłucha... Któż tam przyszedł.

FAMUSOW

(nic nie widzi i nie słyszy)
 Zaraza! Trąd! Pod sąd!
 Przypiękaj cię, pocujesz swąd!

CZACKIJ

Niech pan posłucha... Któż tam przyszedł.

FAMUSOW

Nie słyszę nic, pod sąd!

CZACKIJ

Gość, mówię...

FAMUSOW

Nie słyszę nic, pod sąd!

CZACKIJ

Niechże pan ma na służbę wzgląd.

FAMUSOW

(ogłada się).
 Co? Bunt? Wiedziałem! O, Sodomo!

SŁUŻĄCY

Pułkownik Skałozub.

FAMUSOW

A!

SŁUŻĄCY

Czekam na rozkazy.

FAMUSOW

Osły! Mówilem wam sto razy!
 Prosić, przyjąć, wprowadzić, powiedzieć, że w domu,
 Że cieszyć się! No, spiesz się, idź!
 (Służący wychodzi)

Łaskawco, radzę ci ostrożnym przy nim być.
 Solidny człowiek, znany, cały w odznaczeniach,
 Tyle orderów już uzbierał!

Nie według lat — i ranga do pozazdrosczenia.
 Tak! Lada dzień generał.

Skromniutko przy nim, radzę, jak najskromniej...
 Ech, bracie, kłopot mam... Bo zważ:
 Pułkownik często tu przychodzi do mnie...
 Rad jestem wszystkim, jak mnie znasz,
 Lecz w Moskwie zaraz z igły widły:

Że z Sonieczką się żeni... Plotki! Nigdy!
 Może by chciał. Na pewno. Ale
 Młoda jest, spieszyć się nie trzeba,
 Począć może doskonale,
 A zresztą, wola nieba.

Nie spieraj się z nim, proszę, ni ze mną się kłóć,
 A grunt — te zawracalskie ideje swoje rzuć.
 Lecz go jakoś nie widać. Do mnie pewno zaszedł.
 Zaraz zobaczę.
 (Szybko wychodzi).

SCENA 4.

CZACKIJ

Jak się uwija! Jak pomyka!
 A Sofia? Czy doprawdy — — —? czy to puste groźby?
 Jest-że ktoś? Bo od kiedy to się mnie unika?
 Nie pokazać się choćby!!
 Kto zacz ten Skałozub? Ojciec nim mocno bredzi.
 Może, prócz ojca, jeszcze ktoś-ci...
 Ach, niech zapomni o miłości,
 Kto na trzy lata w dal pojedzie!

SCENA 5.

Czackij, Famusow, Skałozub.

FAMUSOW

Sjergiej Sjergieicz! W nasze strony!
 Prosimy! Zziąbł pan. Rozgrzejemy.
 Tu ciepło. Sługa uniżony.
 Dymniczek zaraz odsuniemy...

SKAŁOZUB

(gęstym basem)
 Pocóż samemu włączyć tam, na przykład,
 Na honor oficera, że mi przykro.

FAMUSOW

Dla przyjaciela, jakżeż, to przyjemność;
 Odepnij szpadę, odłóż czapkę...
 A może by pułkownik chciał się zdrzemnąć?
 Prosimy na kanapkę.

SKAŁOZUB

Byle by usiąść. Gdzie pan każe.
 (Siadają wszyscy troje. Czackij nieco opodał).

FAMUSOW

A! żeby nie zapomnieć. Może ustalimy
 Koneksję familijną, której nie kojarzę.
 Choć to wiemy dalekie, spadku nie dzielimy.
 Poczuj mnie, bo nie jestem pewien:
 Jaką ci krewną jest ta sławna
 Nastasja Nikołowna?

SKAŁOZUB

Nie wiem.
 Nigdyśmy razem nie służyli.

FAMUSOW

Sjergiej Sjergieicz! Czy mnie słuch nie myli?
 Bo ja, przeciwnie, na czworakach,
 Ledwo usłyszę o krewniakach,
 Nawet na morskim dnie doszukam się rodziny.
 Personel mój, to rzadko ludzie oby,
 Siostrzeńcy głównie, kuzynostwa chłopcy,
 Jeden Molczalin ni mój brat, ni swat,
 Lecz pracowity za to i bez wad.

FAMUSOW

Gdy trafi się posadka, albo inna gratka,
 Jakże obejść krewniaczka w podobnych wypadkach?
 Opowiadał mi jednak pański brat cioteczny,
 Żeś mu służbowo bywał bardzo użyteczny.

FAMUSOW

W trzynastym roku wyróżniono nas przed frontem
 W trzydziestym Jegrow, potem w pięćdziesiątym piątym.

FAMUSOW

Tak, tak... Zazdrościć ojcu, gdy się uda synek...
 Już i orderek pewno posiada kuzynek?

SKAŁOZUB

Za trzeci sierpnia. Biliśmy się tego.
 Ja mam na szyję, brat ze wstęgą.

FAMUSOW

Znaczy, zuch. Jaki przytem uprzejmy, stateczny...
 O, znacności to człowiek, pański brat cioteczny!

SKAŁOZUB

Owszem. Lecz zabną w jakies nowe myśli,
 Miał właśnie dostać awans, a on do dymisji
 I na wieś — książki czytać.

FAMUSOW

Ot, młodość! czytać, czytać, potem drogi pytać.
 Pan — inną drogą poszedł, poprawną i sławną:
 Dawno pułkownik, a w wojsku nie dawno.

SKAŁOZUB

Śród kolegów pułkowych dosyć mi się szczęści.
 Otworzono wakanse, okazał niezwykła:
 Starszych — wyłącza się, na przykład,
 Inni — zabici po części.

FAMUSOW

Tak, czym Pan Bóg doświadczy, tym potem wywyższy...

SKAŁOZUB

Ale bywa niejeden ode mnie szczęśliwszy.
 Nie daleko szukając, w piętnastej dywizji
 Nasz generał brygadę.

FAMUSOW

Zmiluj się dobrodziej!
 Czegóż ci brak? Zazdrościć mógłby każdy bliźni.

SKAŁOZUB

Zaczęłam służbę w osiemset dziewięć lat;
 Różnymi kanałami dopływa kariera.
 Czysto filozoficzne na to mam poglądy:
 Mnie — wystarczy generał.

FAMUSOW
 Rozumny pogład. Daj Bóg zdrowia
 I generała. A ciąg dalszy
 Cóżby innego, jak rozmowa
 O generalszy?

SKAŁOZUB
 Ożenić się? Ja nie od tego. Owszem.

FAMUSOW
 Cóż? Ten ma siostrę... tamten bratanicę...
 Ów córkę, dziecko swe najdroższe.
 Panien do wzięcia w Moskwie co nie miara!
 I wciąż przybywa, z roku na rok.
 A! dobrodziej, zjedź ten świat jak dług!
 Nie znajdziesz takiej Moskwy drugiej!

SKAŁOZUB
 Ogromnym się dystansem rozpościera.

FAMUSOW
 Gust, proszę cię, szczególna to maniera,
 Na wszystko swoje prawa są.
 U nas, na przykład, z dawną ustalono święcie,
 Że według ojca — syna czezą.
 Niech będzie licho wart, a niech ma w testamentcie
 Ze dwa tysiące dusz dziedzicznych,
 Już mąż, i śliczny.
 A inny — pychą wdęty, świat go mędrcom mien!

*) 6 wierszy nie przetłumaczonych.
 (Dokończenie na stronie siódmej)



Czackij i Sofia — ilustracja Piotra Parigi do wydania włoskiego 1932 r.



Sofia — ilustracja W. Masiuticza do wydania berlińskiego 1923 r.



Famusow — ilustracja W. Masiuticza do wydania berlińskiego 1923 r.

ANDRZEJ BRAUN

Poemat o polskich stoczniowcach

N O C N A R O D Z I N

I

Jaka cisza. Zaledwie mglisty
klab księżycyca. — Krzyk jej czy słycać?
Księżyc wzniesła w tasieńce Wisły
skierki błysków — I morze wdycha.

Tuli ziemia ciężarnym brzuchem
śpede szenie — spalony Gdańsk.
Ostrym uchem wiecy posłuchaj
echa spadłych na ziemie gwiazd.

Oto tysiączna noc zagarnia
gonty dachów jak pyski ryb. —
Świeci szklana stocznia latarnia
niebieskimi taflami szyb.

Zanim jutro dzień wstanie młodszy
chleb z słonego lepimy ciasta. —
Świeci szklana stocznia stocznia,
lśniące serce czarnego miasta.

Tu w gardlach doków kwiaty pary
rozkwitają przez cały rok —
Z nowych statków — nie z wraków —
starych — bliższy będzie w socjalizm skok.

Kto tej nocy cierpi, kto usnie?
Przejdź wzdłuż klatki mieszka — nie pytaj.
My tej ziemi wrócimy uśmiech
twardym krzyżem rąk robotnika.

A zanim noc jak wiek przemienie
— bo noc, to wiek dla wielu istnień —
będzie po stokroć liczli chwile
i myśli dławili nienawistnie.

Noc napięta, noc niecierpliwa
kusj podbrzuszem srebrnym na listkach.
O kasztanie, co w mroku się kiwa
można długi poemat napisać.

Ale u nas człowiek bogatszy
i piękniejszy od drzew, czy maszyn —
Każda lampa w oczymy patrzy,
każde słowo stoczniowcom naszym.

WIELKA PRAWDA TO NIE MA-
SZYNY —
ZAMKNIEZ TAKI ŚWIAT W
JEDNYM SŁOWIE
LECZ CO CZUJEMY — O CZYM
MARZYMY,
— W EPOPEI NIE ZMIEŚCI CZŁO-
WIEK.

NIECHAJ LUDZKIM
BOGACTWEM NATCHNĄ
DNI POWSZEDNIE
[WSCHODZĄCYCH KLAS.
TAK ODDYCHA ŻYCIE
[PRYWATNE
PROSTĄ WIARĄ W IDĄCY
[CZAS.

Oto twarze zalazłe smarem,
a jaśniejsze są od aniołów —
Schnie krew cegiel nad morzem szarym
jak witraże opravne w olów.

To willowych dziednic bukiety.
Tu w uliczkę ciepłą zajrzymy:
W drzewi serduszkę bliższy bilecik

JANINA I STANISŁAW S...

On stoczniowiec. Więcej — partyjny.

Nie spamiętasz nazwy uliczki —
może „Słoneczną” być, może „Różaną”...
Tutaj słońce świeci publicznie,
odstąpione piesząc kłana.

Stąd z rezedy, czy z groszku codzienn
wyrywaj czas swój jak z płochych pieszczoł.
— Jeszcze w stoczni kwiaty szeszczą —
żona ciężarna stąpa po ogrodzie — —

II

Jakże kochać naraz tak wiele!...
— Przyjdiesz wcześniej?
— Dziecko, ty wiesz
nie mogę
Teraz orka dzień noc
— A w niedzielę...
— W niedzielę spuszczaemy okręt na wodę.

Taka jestem jak kaleka
No idź idź już
ja wiem
wcale się nie dąsam.
Żebym tylko i ja mogła
coś zrobić

powiedział lekarz:
w błodrach za wąską.

Popołudnia są ciche — jak dal.
Poręcz wspiera krok, a luźny szal
brzech ukrywa. Osiki, buczyzny
drzą za furką jak trele dziewczyny.

Macierzyński urlop w PZŻecie
wpływał w długie, szarszałe przystanie.
Syna mego puska już nie zgniecie —
w lepszy świat odpłyniesz, kapitan!

Nie zapomnisz, nie można, nie trzeba,
kto ston podał skolatanej głowie,
z dołu śmierci, spod ciała się wygrzebał,
dłęści włokąc za całą odpowiedź.

On z ryszotka nędzy wywlókłszy,
włócił w socjalizm pięć wspólnych lat.
Za to plecy wspiera i huczy
życie czyste, mocne jak wiatr.

Kto kraj karmił jak żonę własną,
zmarzę dlonie nad świecą tracę,
temu choćby słońce zagasto —
milion ludzkich zapali słońce.

*
Pieky oczy napuchłe od wierzeń,
gdy przeskoczył nad czasu krwotokiem.
Wstawał z kłęczek dzień w koszuli
świeżej
by szpizową pięścią bić do okien.

Pierwsze kroki milczące, nieufne
— dziś zrudziały jak słowa plakatów —
Gwiazdy schodzą się w noc na masówkę
pcwstającym w najcięższym ataku.

Zbite usta wolno słowa kraja,
ođmarzając pierwszą wiosną chłodną.
Wiedział: nie ma spoczynku w tym
kraju,
w którym kipi wieczna ludzka młodość.

„Z Tobą piekło przeszedłem i czyściec,
słów gorących kula nie ochłodzi.
Wielkie życie na przekór wytryśnie
milionami piękniejszych narodzin”.

Ogrzej w dłoniach rewolucji piskłę,
wszak ci tchu nie wyziębiły kraty.
Z wolnych stępow dmij dziejowy
wicherze
jeśli takie w piersiach rodzisz kwiaty.

W cisy źródleń zamyka się kolej
rzek miłości, najgłębszych wówczas,
gdy szeregi wystąpią jak żyły na czole
kiedy krzyczy wiecowy mówca.

Dom odnaleźć poza swoim domem —
nieuczona i kulawa myśl trwa —
i oto transparentów szramy czerwone
tną miasto:
STAWAJ DO WSPÓŁZAWODNICTWA!

Obserwując kanciaste ruchy,
poznawała jak bardzo się męczył.
Miałaś, droga, dlań słowa otuchy
i, jak miłość swą tak czysty ręcznik.

Słów nie trzeba. Tu wystarczy profil,
gdy budowy termin w śnie nie znika.
Ostatnią parę wyduszą ze stoczni
by obwieścić krótki komunikat.

*
Tylko w myśl: człowiek się nie lęka,
tylko w słowach strach dumnie usmierca —
drżałaś, widząc że ciasna sukienka,
gdy w twym ciele zabili dwa serca.

W dużych dłoniach źrenice niebogi
jak płomyczek przed wiatrem tulili.
A gdy była smutna
tnąc koszulki z płótna
pocieszał: ludzjom ręce obrywa i nogi...
śmiała się przez lzy jakiś ty głuptas.

III
Przyszedł, ruszając brwiami sztucznie,
mówiąc: No jak tam — gł śno nazbyt.
Zona dziś miała rodzić. Prócz niej
nie miał nikogo. Drżał jak każdy.

Wszędzie jest strach. Ty znasz go.
[Przebacz.
Tak biało tarcała lśni zegara —
Ta noc coś z piekła ma, coś z nieba,
jak ludzka twarz przedwcześnie stara.

Jak podać dłoń, gdy dłoń potrzebna,
a ściana śmierci taka wąska.
W domu, czy w stoczni — miłość jedna,
Więc czemu palce chce się kąsać?

Ostatnia noc budowy. Tramwaj
nim wpyłuł go w dzielnicę portowej
jak pogrzebowa drżał latarnia,
która ma szybki fioletowe.

To głuptwo, mówię ci, to głuptwo
Przez to przechodzi każda kobieta.
Każda kobieta. Każda kobieta.
Lecz ona nie była każdą kobietą.

Już widzi: pnie się dźwigów ażur — —
A nigdy nie był tyle winien
wobec tych Kremlów swych marzeń,
gdzie pierwszy człowiek, to inżynier.

— A to pan. Dobrze. — szybko mówi —
Już myśleliśmy... ehm... — drzwi zamknął.
Niepokój został na wartowni
i czai się, porusza klamką — —

Za WEJŚCIEM, za szklanymi drzwiami,
na mleczny blask arament wylał —
Tu świder krzyczy i krwiał plami
To żonę w oczach ktoś zarzyna...

Obetrzaj bluzy chytre widmo —
kadłub jak sęp wyciąga szyję. —
Kiedy zadzwonią, będzie widno
świergocząc: „matka z dzieckiem żyją”.

Ta noc pomiędzy niebem, piekłem —
gdy biją w dźwięczne blachy stoczni.
— Brygada już w komplecie. — rzekłeś
myśląc: gdy umrze, coś ją pocznę?

W drelichach, w sowich okularach —
O, czemuś się spokojem pysznił... —
Co pan rozumie? nic pan nie rozumie!
chciał dodać: i rozumieć wara!

Poród mógł przynieść komplikację.
Była tak drobna. Sprawy kobiece.
Cóż? — człowiek drży, chociaż ma rację
polegając na lekarskiej opiece.

W lazience on, Dziobaty, Franek
i Eysy pluł mydlin siwizną.
Szl na pochylinię. Koniec. Amen.
I masz! Dziobaty chytrze gwizdnął.

A noc się uśmiechała mgliście.
O, czemuś się spokojem pysznił...
Zaczepia: Stasiu, upił byś się — —
— Gdy żona cierpi? Tfu!... a wyścig?...

Dziobaty sztydził: — Młody ‘ata...
i pytał: — Stasięk, co? masz tremę?...
On zaś rzul, że go ziemia przygniata
iec gotów był podźwignąć ziemię.

IV
Gdzie tkwił początek? Stocznia
[martwa...
Kto nalał waru w żyły nasze?
Tam u kolebki stała Partia
i Rady Załogowej kaszel.

Krótki był wiec. Potem szli rażno,
paznokcie gryząc w zamysleniu.
Śnieg sypał szkłem. Kanał zamarzał.
Wśród rusztowania siewał Lenin.

I pobiegły dni jak wagony
ładowne wzruszeniem i wysiłkiem,
pobiegły szlakiem w nowy czas.
Dni twarde, ostre, niby krew słońce,
Dni, jakby z bicia trzasł.

I noce długie, noce żylaste,
diawjące, niby pęta.
Wiem, przyjdzie zmiana, a ja nie zasnę...
Te noce się pamięta.

Biegły tygodnie, nabrzmiały jak mięśnie
i jak mózgi ludzkie gorące,
i mijaly miesiące
coraz częściej
ukończone przed końcem.

W lutym szkieleł śniegiem porastał
i żelazo sarko jak ostrze.
Przyklejała się dłoń położona na stal,
wieher kosą ciał słowa najprostsze.

Naniesiony z podłogi traserni
na biały papier śniegu, w torów węzowisko,
rudowęglowiec rósł. — —
Szl towarzysze pancerni
z tęcząwo aureolą ogni
a z bliska
kamieniał mróz.

W marcu kadłub stanął okrakiem
w rybach łuskach deszczu.
W biegu prześniętego czas —
Gumiaki lśniły jak lakiery —
Mruczały elektryczne motory
i poniósł wyścig pracy
jak transmisyjny pas.

W kwietniu:
— Będzie na termin?
Majster:
— Na poniedziałek?
— Będzie.
— Ręczysz?
— Pamiętają.
— Zrobi się, powiedziałem — —

Ileż brzemiennych nocy
dla Stacha i dla Janki.
Świat niby taki prosty
a tyle niespodzianki.

*
Kończyli dziś współzawodnictwo,
nitując segment po segmente.
Wzdychało morze, szując blisko
pot i oddechy na okręcie.

Lecz nim sól potu słona fala
z socjalistycznej burty zliże,
a kotłom życia nim tchnie palacz —
jeszcze młoty i palnik bliżej.

V
Jak węgiel noc i księżyc w pełni
zapala modre szybki dachu.
Już ludzie podchodzili pewni
popatrzyć na stalowe blachy...

Tam parowozy suną dumnie
jak brygadziści z dymu szarfią,
Z nimi wagonik tłumem
na pierwszy świst zwrotnice szarpia.

Robocza brać klinie i potraça.
A megafony w ryk muzyką. —
Przeciety windą pysk miesiąca
aż gwiazdy wyłknięte nikną.

Tam w kuźni żar obdziera skórę
z twarzy. Tchu brak. A boli rana — —
I stal masz płynną za pazurem.
Gdy krzepnie w formach, noc jest ranna.

Wysycha w locie, kiedy spluniesz.
Tak skronie biją młotów tętnem — —
Po wzdętych żyłach, jak piorunie,
rumak historii gna z tętentem.

A w ślusarni biegają chłopaki,
bzyczą tokarnie, kipią gwintownice.
Spójrz planisto, ty wielki chojraku
jak ci harmonogram wywróca na nice.

Stąd już spawacy gwiazdy bliskie
(masz rudy proch w żrenicach ślepych)
Migoczą srebrne osty iskiei
jak mroźnych palm na szybie przepych.

Albo paprocie w noc majową
ociekają fajerwerkem rosy — —
To megafon drze się w niebogłoty:
— Inżynier F... porozumieć się z Radą
Załogową!...

Noc się śpieszy. Nocy brak oddechu.
Echo studni na lbie ścisła obreż — —
za to w każdej twarzy biel uśmiechu,
Brawo! tempo trzymają oburącz.

Każ zaśpiewać przecinanej blasze,
a zadźwięczy ogromnym tematem
jak się zmagą z rozprzęgniętym światem
pożyteczne budownictwo nasze.

*
Czas mknie. W pośpiechu coś doskwiera.
Czujesz usta spierzchnie jak tarki:
mały, żrący robak — papieros
przylepiony do dolnej wargi.

Człowiek grzany, choć na wpół goły —
Jednak bierze. Wie każdy z nas.
I ciemne w twarzy oczodoly
jak wypalone żrącym kwasem.

Karbid tak cuońnie. Wiozą butle —
To dźwig wyjący zwolna ukląki,
osnuty w pary ciężkie puki —
(Jak gryzie potu szorstkie sukno!)

Gwiazdzisty miał odległych iskiei. — —
Podpiera ciemność dziób okrętu.
I słowa myślom ludzkim bliskie
schną na bieliznie transparentów.

W namiotach blasku ludzkie torsy
to rzeźby z węgla, srebrne potem.
Ogłucha noc dostala torsji —
Bębenki pękają od łomotu.

Dźwięczy kowadło, pieśnią broczy,
w luku wolty topnieje noc —
Mrok się zwala na łeb jak kłoc,
nim od błyskawic w tył odskoczy...

W girlandach świateł czarny kolos.
Dzioby żorawi. Olbrzym usnął. —
Powieki jak gaspapier bola,
gdy czekasz, aż belki usuną — —

Otwarty brzuch, skrawiony minią
oblazła wiara jak mrowisko.
Nim tramwaj nocny bramę minął
dziesięć palników stal przegryzła.

VI
Finał wyścigu. Próba teraz — —
On — nigdy nie był winien tyle
wobec sprawy, co dech zapiera
jak w zimnych butlach acetylen.

Zapomnieć! Cóż nad pracę jeszcze — —
Podziwiać każdy — nie zazdrościł.
Toć ścisnął przez żelazne kleszcze
lęk, rozpalony do białości.

Iskami skacze po przewodach.
prąd. Cóż to? Nerwy, nerwy diable! —
Won z lękiem! Wiara tu — gospodarz.
Ba — napięcie spala nawet kable...

*
Młot pneumatyczny bił w gorące
nity, plaszcząc jak serce w kuźni.
Myślał: gdy z piersi je wytrząsnę
może w niej będzie trochę luźniej.

Ale zbyt wielka wówczas pustka
i jak bez serca skończyć okręt?...
Czy fala twarz spieczoną muska
i ślady pozostawia mokre?

To tylko ciepła potu maska —
A może lzy? Ach nie, nie, skądby —
— Któżby pomyślał, żeś ty mazgaj
chłopie, w czułościach nawet skapy.

Lecz on nic nie wie, on się smuci,
Wszak tutaj życia oddał kawał...
Nim w statku serce prostych ludzi
zabije, zanim zaklepią brawa

„rak usmolonych... W chmurze krzyku
rozkozi toń rudowęglowiec
osnuty rojem holowników
beczących, niby stada owiec.

— Może syna tam skryje burla,
gdy go morzu zwerbują żagle.
Poprowadzi. — A jeśli córka...
— U nas nie ma różnicy żadnej.

A więc czemu zębami zgrzyta?
co zmaciło wizję tak jasną? —
Wspomniał żony głowę wśród żyta
na spacerach długich za miastem.

Słyszy Zielińską (idiotka baba)
i szalej, chłopie i złość się — —
„Zmarła, powiada, z dziecka, powiaaa
a on był, powiada, w robocie”.

*
Czas wisi na wskazówkach ciężko
jak wręgów blok na dźwigu szeszęce.
A z góry lampy ludzi męczą
i leją rcię przez obie ręce.

Wziąć nerwy w garść! Za świda uchwyt
choć lokcie trzęsie koło żeber — —
— W cekinach potu skroń chce ukryć
wśród ramion sztywnej twarzy krede.

W kraj nie ustawał doku jazgot —
ciał pilnik po zużonym mózgu,
trocinny sypał — światła miazgę
i nie spał pracowity ustrój.

W noc, gdy kończono pierwszy statek,
gdy wspiął się gotów na pochylni,
w tę długą noc najmłodsza z matek
myślała także: bądźmy silni.

Kto coś ukochał ponad trwałość,
nie pojmie prawdy przemijania —
Świt w szyby włoczy twarz swą białą
jak po bezsensnym stróż czuwaniu.

VII
Wszystko rośnie, wszystko się rodzi.
Czy początek czasu dościgiem?
Zegar dostał zawrotu głowy
i wiruje wskazówki śmigłem.

Przelatują pociski godzin
jakbyś kreślił przyszłości korbę
Nikt nie myślał, nikt się nie zgodzi,
że on dawno przekroczył normę.

Głupstwo, mówił. Trzeba i szlus.
Tobie rodzić samej daleko — —
Mnie, w warsztatach zostać, gdy mus — —
— Niechbym chociaż zrobił ten rekord!

Dlonie tańczą, a biega jak szatan.
Jego tutaj nie zastąpiś nikim.
W którym skrątku sekundy latał
i stał tam, pod oknami kliniki.

Chwila taka, że mógłbyś płakać.
Cień to pędzel — usta wyduża.
Morze chlupie, chichocze w krzakach
jak Franka kurwa, córka stróża.

Zdyszana noc. Szafir stałają
wśród lamp, tych twarzy cichych.
[W górze
drzewa szumiące pouczają
jak mądrych starców słowa w chórze.

A w ciemność, w ciszę tyś zaplątał
niepokój ludzki i zgrzyzotę.
Zawieszał okien prostokąty
szpital, cieknący światła złotem.

*
Tam szeptala ona niezmiennie
z jedną myślą, uparcie chłodną.
Dwa serca tak biją we mnie...
trzeba, trzeba dziecku dać wolność.

*
Widział siebie; wpada na kafele
chirurgiczne z krzykiem: Nie chcę, nie
[chcę...
On, čma błędna! Słysz z zewnątrz nagłe
schryply głos swój: — Stary, nie bądź
dzieckiem.

Noc pulsuje napięta jak zdrada,
rozpalona w gwiazd zbiełalych nitach.
W kadłubowni zwycięska brygada
dłoni ścisłała swego przodownika.

W tych o ach blask gorączki. Chmurno.
I ta, która mu jest najbliższą...
Magnezem ciągnie wielomówność
lampy, co wiecznie się kołyszce.

Lampa szarszeje, przyjdzie ranek
i ptaków pisk i chłód — —
i spojrzaj oczy ukochane,
spozstrzegaj jakżeś schudł.

Ty, pot ścierając czapkę, ciężko
jakbyś przez ciata wrogów brodził,
przyjdiesz i powiesz jej po męsku:
— To była, dziecko, noc narodzin.

A ona, kładąc ręk opłatki,
zaszmerze swym wiosennym głosem
z wezbranej mlekiem piersi matki
i powie: — Popatrz, co ci niosę...

VIII
Była godzina piąta na zegarze
i dzień przez okna zdumiony zagładał.
Już na pochylnię wchodzili malarze,
a słońce pierwsze zapuszczalo żądlą.

W planie nadwyżka, i to gruba,
Lec on — jak po trzęsieniu ziemi.
Terkozce telefonu tuba
i mówi, mówi tylko jemu — —

Tak przeszła noc, jak letnia burza,
za którą niebo się wyciera.
Widzieli: stał, wargami ruszał
i szepnął tylko: — O cholera...

WIEDZ, PRZYJDZIE TAKICH
[NOCY WIĘCEJ,
NIM ROK SIĘ ZACZNIĘ
[MYLIĆ..
GDYBY NIE PRZYSZŁOŚĆ,
[POWSTAJĄCA W MĘCE
CZYMBYŚMY BYLI?...

JÓZEF BIENIEK

POMYLKA PANA BOGA

P o śmierci Bejduli laskawy jak zwykle dla bogacza los rychło namanił Talagę nową ofiarą dla pastuszkiej funkcji. Był nią tym razem wolowaty sietnik z sąsiedniej parafii, Jasiu Paździerz — dla wygody wzrokowo-językowej. Pnioczek króciutko przewany. Za imię, za nazwisko, za wszelkie personalia jedno jedyne słowo — Pnioczek. Pnioczek i tyle.

Był to przedziwnie skonstruowany typ. Na oko niedojda, o zgoła bejdackiej fizjonomii: malutki, z brzuchem jak opalka, z zapadniętą pierśnią, nad którą sterczała potężna głowa o dziwnej niewykończony twarzy, osadzona na grubachnej szyi ozdobionej dwoma pokąźnymi pagórkami wola — istotnie przypominał kawał drewna. Taki właśnie z grubszą ociosaną kłoc-pniak. Ale w tej niemożliwej bryle, pod chropawą materią żył skoczny człowiek, o wcale intensywniej psychice i w pełni sformułowanym światopoglądzie. No pewnie, że ciałem i ubogim, ale przecież oryginalnym i własnym, przerastającym mimo wszystko miarę warunków, w jakich żył. A kto się pod żobem urodził i zapłacił swój los w króćce ogony, temu orle skrzydła rosnąć nie mogły.

Światopogląd Pnioczka i skala jego psychicznej żywotności wyrosły i mocniały na gorzkiej strawie mnogich doświadczeń i obserwacji, pobieranych na ciernistej ścięcie kłoc-pniaka. Rozum Pnioczka miał wiele cech bystrości dziecka, które zaczyna już pojmuć świat i próbuje mierzyć jego sprawy własnymi kategoriami. Tylko, że kiedy definicje dziecka są na ogół uczesane i pozytywne, to sprawy te miały u Pnioczka wyraz skrajnie pesymistyczny, uderzając niemal starczą dojrzałością i goryczą. A przecież Pnioczek liczył dopiero dwadzieścia parę lat.

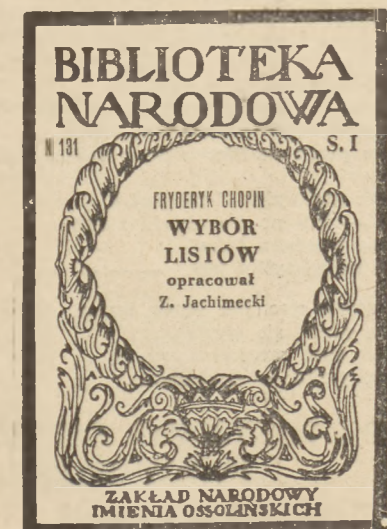
Zasadą i celem mądrości życiowej Pnioczka było ustalanie sposobów obrony przed gęsto się spływającymi kopniakami losu. Jego życie było właściwie jednym ciągłym ponurem i najbardziej haniebnej defensywy. Tkwiąc gdzieś na najdalszym krańcu człowieczego obszaru, bezustannie zagrożony poniewierką bronil się jak mógł i umiał, obstając gaściami sprytu ostrość uderzeń, unikając poważniejszych starć, nekając przeciwnika ocupiną mizernych możliwości i wymuszając na nim wszelkimi uchwytymi środkami minimalne zresztą ustępstwa.

Taka była niepisana taktyka Pnioczka, Bejdul i Bejdoków w ledwo widocznej i beznadziejnej jak się zdawało, bo nie popartej przez nikogo walce z przemogłym światem ucisku i krzywdy. Niedotężne okrucy tej walki, łącie komarze zwiry buntujące się w pojedynkę biedoty, były jak bańki na wodzie, ukazujące się w wyniku zagubionej w głębinach ruchu, niedostrzeganego jeszcze, ale już mającego spokojną i groźną ton.

*

Pnioczek znalazł u Talagi mniej więcej to samo, co na wszystkich prawie służbach od dwudziestu bez mała lat: trochę kłopskiego jada, dużo roboty i jeszcze więcej poniewierki. Jedynym niemal wynagrodzeniem za ciężką pracę w tamtych warunkach była dlań „okrywka” składająca się z reszek starych ubrań i butów, pospinalnych do kupy większą ilością różnokolorowych lat, oraz mizerna pewność, że dopóki będzie miał siły do pracy, nie umrze z głodu.

Nie miał przecież Pnioczek za złe losowi, że go przetrząsnął na króćce patrona i godził się z tym, że służyć musiał, wierząc w tę przykrą prawdę, że coby robił taki, co go już przy poczuciu w zładoczkach zapisano księgi — szósty, nie ostatni i niedopieczony syn bezrolnego wyrobnika. Był Pnioczek — jakby to powiedział — realista. Nie buntował się zbyt mocno przeciw istniejącemu porządkowi, zdając sobie sprawę z beznadziejności wysiłku, rozpoznanego i zagubionego w potężnym zlewisku kapitalistycznej gospodarki, odrutowanego gęstą siecią brutalnych sił i żąd.



Stron LVI+116 Cena zł 400.-

Praktyczny umysł Pnioczka, wyostroszony w ciągłych starciach z szorstką powierzchnią otaczających go warunków i stosunków, szybko naprowadził biedaka na właściwą w takim położeniu drogę. Już we wczesniej młodości doszedł do przekonania, że nie warto się drapać tam, gdzie nie swędzi. Zaczął więc dbać jedynie o to, aby w tym, co jest, ocalić siebie, by zyskać przynajmniej to, co w tamtej pozycji wydawać się musiało najważniejsze — pełny żołądek. Surowy, ale uważny instynkt i cały, bardzo zresztą prymitywny spryt poświęcił Pnioczek zabiegom aprowizacyjnym, dożywając się przy skąpym stole „chlebodawców” własnymi sposobami.

Różnie to z tym dożywianiem bywało. Zwłaszcza w początkowych latach służby, kiedy to bardzo jeszcze świeże i bezpośrednie matczyne „siódme: nie kradnij” — tłumilo mękę głodu i gnębilo żądze nielegalnego przez niedawno zmarłą a bardzo kochaną matkę zarastała mocno złoza uczuła szeregami najbardziej kategorycznych zastrzeżeń i definicji, z których pojęcie cudzej własności miało chyba najbardziej bezwzględna moc. Toteż w chwili popieniania tego pierwszego przestępstwa Pnioczek drzał cały jak w gorzkiej i przykrywawczy wyzyskaniu czegoś strasznego. Ale chleba nie puścił. Nie stało się jednak nic i Pnioczek zachęcony tą milcząca, jak mu się zdawało, aprobatą nieba, rozważał się coraz bardziej i coraz rzadziej był głodny.

U Talagi spotkał Pnioczka ciężki zawód. Tu dawano jeść jeszcze mniej niż po innych służbach, a wszystko cokolwiek nadawano się do konsumowania, zamykano starannie i bez przerwy. Toteż rozepchany jalowizną brzuch Pnioczka burczał wściekle, a jego właściciel ledwo laził, przemysłując bez przerwy nad sposobami wyjścia z głodowego impasu.

Wolno obracały się kółka Pnioczkiego mechanizmu myślowego, zwłaszcza gdy chodziło o zrozumienie jakiejś nowej funkcji wykombinowanej przez pracodawców, ale kiedy szło o niego, myśli nabierała tempa wcale żywego, konstruując potrzebne pomysły aż do skutku. Tak było też i tym razem.

Spostrzegł Pnioczek już dawno, że najbardziej nawet niedużymi gadozwoje nie znosił jednego: gdy bity zbyt głośno krzyczał. Zwłaszcza na drodze. No bo usłyszą sąsiedzi i gotowi zaraz bajki robić, że taki to taki katusje służy. Wprawdzie większość z nich czyniła podobnie, ale ci właśnie najbardziej lubili grzebać w czyich brudach, aby tym łatwiej ukryć własne.

Służył więc kiedyś Pnioczek u Wolana, znanego sadysty i okrutnika, który tkłł go niemal co dnia. Z początku Pnioczek wierny zasadzie: ciepł w pokorze a bédziesz zbawiony — wyplakiwał oczy i modlił się żarliwie, prosząc Boga o interwencję. Później jednak — wobec absolutnej bierności sił wyższych — rozpoczął działanie na własną rękę i po dłuższym manewrowaniu mózgowicą wymyślił szereg środków obronnych, z których pierwszy i najprostsz okazał się najbardziej skuteczny. Polegał on na tym, że Pnioczek, tknięty mało wiele, wylatywał na dwór i zaczynał rzyć, jakby go ze skóry lupiono. Siedem normalnych gadeł nie miało też siły co Pnioczek sam — potężne woje, jak megafon, zwielokrotniało moc strun głosowych, toteż gdy zaczął wrzeszczeć, już za chwilę wszystkie psy w Dolinie pomagały mu wyjąć jęk opętane.

Ludzie, jakby mniej wrażliwi od psów, nie rozczuli się zbyt szybko soba-czą dół sietniaka, używając sobie za to w inny sposób. Oto „reklamowany” przez Pnioczka Wolan stał się poświadczeniem gromady i na pewien czas dał swej wścieklizny urlop. Później jednak nie mogąc pogodzić się z faktem zwycięstwa dziada nad gadą, zaczął pracować Pnioczka nocą, gdy ten już leżąc w stajni na wyrku spał. Ale chytry Pnioczek i tu się wybronił. Po prostu, choć go bolalo cholernie, odczekiwał z placem do rana i dopiero gdy pedził krowy przez wieś, odrobił zaległość, drąc się w niebogłosy. Wolan znów stał się tematem szyderczych wymiślań i zniechęcając do wściekłości skapitulował ponownie, ale tym razem już na dobre.

Tę samą metodą umyślił Pnioczek użyć w stosunku do Talagi. Kiedy więc próby o zwiększeniu porcji jada nie odniosły najmniejszego skutku, a ukrasła nie się dało, zaczął Pnioczek dyplomatyczną wojnę, porykując swym głosikiem przypominającym bek zarzynanej kozy, dwa razy dziennie — wczesnym rankiem i po południu, w porze wyganiania bydła. Buczał sprytnie, stosując całkiem zresztą świadomie pewien specyficzny machiawelizm — raz ciszej to znów głośno, w zależności od tego, czy się znajdował zdaleka od chat czy też w najbliższej zaludnionej części wsi. Mając zaś w tego rodzaju operacjach wysokie doświadczenie i niebylejaką wprawę, wyl, gdy się w centrum wsi znalazł, jak potępieńiec, wywabiając baby z chat.

— Cóż ci to — pytały z udaną troskliwością, maskując niecierpliwą

ciekawość — bez coż tak bucys. Pewnie cie Talaga wyproł...

— Niee — darsł się Pnioczek z nie-malą satysfakcją — ino zryć mało daje!

Srodek okazał się i tym razem całkiem do rzeczy. Bo chociaż Talaga rozłożył, że mu dzied wlaż na honor, wyprał Pnioczka ile chciał, czego natychmiast pożałował, gdy ten z siłą jerychońskich trąb obwieścił światu swą tragedię — to przecież dał mu wreszcie wcale potężną michę dopasowaną jako tako do zdolności przepustowości Pnioczkowego bandziocha. Wprawdzie jedzenie było jeszcze gorsze niż dawniej, ale Pnioczkowy żołądek wybredny nie był. Byłe dużo!

*

Nie towarzyszył się Pnioczek z ludźmi. Wymiewany i odręczany, czuł do nich żal i odrazę, zazdroszcząc im wszystkiego po trochu, a najmocniej właściwie sformowanych postaci. Żył samotny, jak na bezludnej wyspie, zdala od uśmiechu, radości i dobroci, odarty z obrzydliwej większości należnych człowiekowi praw, znając tylko jedno: twardej musi obowiązku i bolesne brzemie powinowactwa. Młodość i siły, zdrowie i życie zdzierzał budując bezustannie i bezwolnie czyjeś dobro, bez cienia nadziei na własne, z tą najbardziej gorzką z gorzkich pewnością, że przyjdzie kiedyś skończyć pod płotem na żerzącym barłogu.

Pozbawiony towarzyszywa ludzi i dobrodziejstwa życiowej rozmowy, gadał do zwierząt i przedmiotów, szukając ujęcia dla przyrodzonych człowiekowi instynktów. Ale najczęściej milczał i myślał. Myślał dużo i chętnie, znajdując w cichych dysputach z samym sobą to, czego mu nie dali ludzie, zdobywając cierpką przyjemność coraz wyraźniejszego dostrzegania ogromu własnej nędzy i poniżenia, próbując rozwiązywać dręczące go zagadnienia własnym zespoleniem środków, budując definicje dostrzeżonych zjawisk dostępnymi sobie sposobami, na leżącej w jego zasięgu płaszczyźnie pojmowania. W prostocie ducha i umysłu, bez pomocy z zewnątrz, nie mógł jednak zrozumieć wielu spraw, które nie mieściły się w kręgu jego możliwości, gubiąc swe oblicze i sens w tajemnych cieniach niemożliwych do roznamięnienia przez poparcia szkoły i książki, albo też w potwornym gęszczu zakłamania i obudy.

Najczęściej szło Pnioczkowi, gdy zaważił o sprawy religii. Bo jakie to — uczyła go matka, że Bóg to najspanialszy ideał prawdy, piękna i dobroci. Zdumiewał się więc kiedyś sietnik, gdy słyszał Talagę wybiepującego co wieczór „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Stary skąp słuchoł w trakcie tego po osiedlu, przeplatując poszczególne strofy pieśni mniej lub więcej socystyimi powiedzonkami i przekleństwami pod adresem któregoś z domowników, niezbyt szybko wykonującego zadaną pracę. Naiwny umysł biedaka nie mógł pogodzić tego dziwnego sojuszu złości człowieka z dobrym Bogiem, wyczuwając raczej niż rozumiejąc, że dzieje się tu jakieś potężne a ponure oszustwo. Któżż to bowiem z dziennych spraw znanego skąpca, pieniacza, wściekleńca i wyzyskiwacza mógłby taki Bóg przyjąć za dobrą monetę? Nie, toteż Pnioczek zabną miarą pojąć nie mógł, choć bardzo chciał. Dziwował się więc i mrucał krocąc głową, która wyglądała jak kopa slana.

— Ej, cosik tu nie gro. Abo Bóg cygani ludzimu abo ludzkie Bogu.

*

Pastwisko zwane Zawsiem biegle wielomorgowym płatem łagodnej uboczy od ostatnich chat wioski, aż ku lesistym stokom Karpat, za którymi białą bielą maszyw Tatr, klującej ostrymi kielami błękitną powłokę nieba. Od wsi ku lasom biegnęły tedy zapomniana drożyna, nad którą stał olbrzymi dąb a pod nim stara figura Chrystusa Frasobliwego.

Niedotężnie wystrugany z lipowego kłoca, z prymitywnych tęsknot twórczych wiejskiego dębaka-świętkażka na świat narodzony siedział tu od niepamiętnych lat, zapatrzonny w leżącą przed nim wieś, wciąż jednakowo smutny i zadumany, jakby bolejący nad własną bezsiłą wobec tamtych spraw, w których grzęzły losy tych, którzy najmocniej i najszerzej wędz wierzili, słodząc gorzyc istnienia jedynie szczyptą odległej wizji nieuchwytnego szczęścia po tamtej stronie życia.

Na surowej, czysto chłopskiej, malowanej pedzlem wiatrów i farbami deszczów twarz wystąpił wyraz przegromnej goryczy i smutku. To jedno światkare umiał oddać z niezwykłą siłą, jakby przelewał w tamto drewno najistotniejszą treść własnego życia.

Bo ono też tak było. Nie rzeźbił światków bogacz mając pełne ręce bardziej konkretnych zajęć, czynił to zawsze pomyłony nędzarz, tym biedniejszy, że „marnując czas” na diawactwa. Taki zaś nie tworzył wizerunku Boga odległego własnej prawdziwej życiowej, promiennej chwałą, pełnego potęgi i dostojności, bliższego panom i kmieciom, ale właśnie podobnego sobie — ubożuchnego sietniaka, z twarzą naznaczoną stygmatem niustającego frasnku.

Podobny był tamten Chrystus do Pnioczka. Taki sam — z grubszą ociosaną, pozbawioną proporcji, niemożliwym ulomniaki. Tyle, że na grubej szyi wola nie miał. Toteż Pnioczek niby brata polubił ową figurę, spędzając pod nią wolny od gonitwy za byd-

łem czas. Siadywał zwykle naprzeciw i wpatrując się w bliźniacza postać filozofował po swojemu, wysypując w nieporadnych i niewzajemnych słowach przetrawione myśli.

— Nie gnijwojcie się tyż Jezusie — przegadywał jak do znajomka — że Wom nie godom Panie, ale bo i cóż ta za pon z Wos, kiedy siedzicie tu haw welo drogi, kieby dzied jaki...

— Tamten w kościele to hej, wygląd na pana. To tyż z niem se ino ksiądz pogaduje. Wy haw zaś — to w som roz lo takich jak jo. Ano jużci, kazdy swojego znalzy musi. Gazdowski Bóg w kościele, a pastusi na paświsku...

— Wom ta i tak lepi jako mnie. Do Wos sie mój gazda modli, a mnie wali ino kudy leca. Ale jo Wam radze, cobyście ty psikiw nie a nie nie wierzyli — ino Wos tak ino bajeruje i przychylobie sie, cobyście mu wyrzędy w gospodarce nie robili.

Tak to opowiadał Pnioczek Frasobliwemu swoje troski i sady o ludziach i sprawach w otaczającym go świecie widzianych, ciesząc się, że jest nareszcie ktoś, przed kim się bez obawy oberwana guza lub niemniej bolejącego sztyrdzawka wygadać i użalić można.

*

Na doliniskiej plebanii, przy boku staruszka proboszcza, praktykował młodzieńki wikary, ks. Chroboczek. Syn robotnika z Zagłębia nie wnioskł do kapłańskiego stanu brzemienia kompleksów, jakie ciąży na większości księży wiejskiego pochodzenia. Nie kochał ziemi i nie pragnął jej. Nie chciał też na kościelnym podwórku budować fermy dla hodowli dochodów, wygody i honorów, aby odbijał na zaszczytnym stanowisku uraz niższosci, na który cierpiało ongiś mocno tak wielu inteligentów ze wsi rodem.

Ksiądz Chroboczek pochodząc ze środowiska bardziej pod względem społecznym wyrobionego, bardzo szybko dostrzegł morze nędzy i niesprawiedliwości, w którym tonęły losy biedackiej warstwy chłopskiej, i bolał nad takim stanem najszerzej. Bezgranicznie dobry, uczynny i ludzki, wszystkim wolny czas poświęcał biedocie, niosąc jej pomoc, na jaką go stać było. Rychło też dorobił się od tej strony miłości i szacunku, jaką niejedni święty się nie cieszył.

Jedynie bogacze nie zachęcali się postawą wikarego, mówiąc z przekąsem:

— Nie pasuje, aby się ksiądz z dziadami zadawał. Traci walor!

Chodziło wszakże o co innego. Wikary, święty mówca i odważny kapłan, pętnował z całą bezwzględnością młodzieńczej pasji niesłyszane sobokoszą, pyche, skąpstwo i obłudę ponoszący się w świecie bogatego chłopstwa, (wykazując na żywych przykładach nieprawdopodobną płytkość i fałszywość jego związków z religią). Te to właśnie odważne słowa piekające i przykre, bo po imieniu nazwanej prawdy, były istotnym powodem ostrej choć maskowanej niechęci przeszkadzającej tamtych dojrzeć w wikarym właśnie najwspanialszą kwintesencję Chrystusowych idei.

W pojęciu bogaczów bowiem Bóg i jego ziemscy przedstawiciele winni stać na straży ich interesów i kumać się po spolu. Biedni, istniejąc po myśli specyficznego pojętego przeznaczenia dla wygody bogatych, powinni wysługiwać się i cierpieć w pokorze, za zapłatą nadziei na niebo. Sami jednak bogacze niezbyt się o nie ubiegali, sądząc zapewne, że im się ono z racji majątkowych całkiem zwyczajnie należy. Mniekali zresztą że i tam stosunki społeczne nie ulegną dużym zmianom, czyli że kmiećce zasiadają na honorowych miejscach, zaraz obok Pana Boga, a holota gdzieś w dali — na peryferiach królestwa n-bieskiego.

Chęć ulżenia za wszelką cenę niedoli ludzkiej przestawiła większość zainteresowań wikarego na zagadnienia i prace społeczne. Młody, pełen energii i zapалу, nie chciał kończyć swej misji na kościele i jałmużnie, rozumiejąc całą iluzoryczność takiej pomocy grzęznącemu w nędzy człowiekowi a zarazem zdając sobie sprawę z tego, że skala jakościowa postawy duchowej i religijnej człowieka zależy w olbrzymiej mierze od jego stępy życiowej i pozłomu bytowania. Nie poprzestając tedy na wskazywaniu dróg ku niebu wiodących i nie pozostawiając losów ludzkich wyłącznie na łasce sił wyższych, rzucił w działalność społeczną całą siłę młodości i kapłańskiego autorytetu, tworząc wszelkimi dostępnymi środkami różnorodne elementy społeczno-gospodarcze, po linii awansu materialnego najbardziej upośledzonej warstwy chłopów.

Gdy przysłyły gorące czasy reform i przemian, wikary nie ułaskił się nowych prawd, ale widząc ich praktyczną i bliższą swym ideałom wartość życiową, podszedł ku nim, rozumiejąc, że nie wolno dopuszczać do tragicznych konfliktów i rozdziału między religią a życiem włożonym w mocne ramy nowego porządku. Związał tedy osobliwy sojuszek z wybijającym się w biedniackiej masie chłopem, któremu śmiały się oczy do rzeczy nowych, i pospolu łącząc siły i grupując wokół siebie coraz liczniejszy zastęp popleczników rozpoczęli walkę o nową i lepszą wieś.

Skape resztki wolnego czasu przeznaczał wikary na ściśle już prywatną pasję: gromadzenia i badania sztuki ludowej. Włócząc się śladami nędzy fotografował i zbierał stare figury, światki i rzeźby, notował zasłyszane

melodie, piosenki, podania, zwyczajne i wszelkie fragmenty ginącego folkloru. W czasie jednej z takich łazb trafił wikary na błonia za wsią, pod dąb, ku tamtej figurze Frasobliwego, któremu właśnie Pnioczek opowiadał o swej najświeższej niedoli.

— Widzicie — prawit z goryczą, odchylając koszulę, pod którą czerniały pęgi uderzeń — jak mnie ten pieron znowu łoporządził. Wolołek na Wos, cobyście mi pomogli, ale Wyście pewnie w te razy spoj. Jo wolo na Wos i woloam, a ten wali a wali i kpi se jesce:

— Drzyj sie ta — godo — drzyj gordini głupi, akurat ci Pon Jezus poleci na pomoc. Nimiobij tyż co robic ino dziedów sluchac.

Chwilę milczał trąc szerniałą od trudu dłonią po bolącym mlejsku, aż złość, co rosła jak para w kotle, wydarła się potokiem zbudowanych słów.

— Co Wom powiem, to Wom powiem, ale Wom powiem, choćbyście się i zgniwać miol na mnie, że mi się to wszystko nie a nie nie podobo. Bo ktoż to widziol tak pokichanie ten świat urytkować, że jeden mo dwór, a drugi syczyć welo niego, że jednemu wolno bic, a drugiemu ino plakać... Cosik sie Wom chyba pomylilo, jakescie ten świat majstrował, ej, jomyliio.

Ksiądz słuchał dziwnych słów z bolesnym drżeniem czulego serca, stojąc cichutko, aby nie spłoszyć mówiącego, który teraz popadł w milczenie, dumając nad kłopskim porządkiem tego świata. Tędy wikary nie mogąc odeprzeć nagłego ataku przykrych myśli szepnął smutno:

— Nie chciałbym cię Boże obrazić, ale to rzeczywiście wygląda na pomyłkę.

*

Tego dnia paśl Pnioczek bydló zaraz koło domu, gdyż była niedziela i Talaga wraz z całą rodziną wyruchał do kościoła, przykajując Pnioczkowi dawać pozor na żrebęta, świni i resztę lażającej po osiedlu wyżyny. Był Pnioczek akurat wyjątkowo syty. Korzystając bowiem z przygotowań do imienin Talagi, a jeszcze więcej z dogodnego momentu zwędził kołacz, którym omacił sobie dzisiejszy ranek. Promieniując wiec zadowoleniem gadał coś głośno, co miało oznaczać śpiew. Wyglądało to wprawdzie na krzyk zdenerwowanych gęsi, Pnioczek jednak mniemał, że śpiewa i to najbardziej w świecie. Sadu tego oczywiście nie podzielał nikt a rzadkie zresztą popisy sietniaka uważano za prognostyk pogody.

— Pnioczek sie drze — mawiano — będzie lać...

Było to właśnie w pierwszą wiosnę po odzyskaniu niepodległości. Nad pobliskie miasto, gdzie obchodzono dzień Świąt Związku, przyleciała właśnie eskadra samolotów i tuż wycylnała karkolomne ewolucje niby gromada rozbrzykanych urwisów dokumentujących doznana radość szalonymi kozłkami.

W otchłani błasku, na tle modrej głębi niebios srebrne korpusy maszyn ślizgały się jak błyskawice, spijąc w krąg gestym pyłem przenikliwego szumu. Potężne buczenie motorów jak magnes poderwało wszystkie oczy, ścigając je w jeden punkt. Nawet krowy na pastwisku podnosiły by i wylupiały ślepiami przegrzebowały przestrzeń długo i nieufnie, machając nerwowo ogonami, co w ich języku oznaczało najwyższe zaniepokojenie. A flegmatyczna maclora odprawiająca w gnojówkowej kałuży na Talagowym osiedlu swoje dole far niente, dźwignęła upakany ryj, rozglądając się w najszerszym zmieleniu za dziwnymi stworzeniami, które umieją tak mocno i zawzięcie chrząkać.

Pnioczek wstrząśnięty nieznanym kształtem zjawiska przerwał wokalnie produkcję i patrzył sapiać z podziwu jak urzeczony. Ale maszynny gęsz się od strony słońca, zaslonił więc oczy przed grzącym blaskiem i przejęty do głębi śledził ich ruchy, cofając się bezwiednie w tył. W pewnej chwili trafił w próżnię i runął w głęboki dół pełen wody. Kłocowate i nieruchawe ciało pogrużyło się w topiel jak kamień. Przez moment niedugi wystające nad powierzchnię stopy biedaka trzepotały się bezradnie w olbrzymiej mierze od jego stępy życiowej i pozłomu bytowania. Nie poprzestając tedy na wskazywaniu dróg ku niebu wiodących i nie pozostawiając losów ludzkich wyłącznie na łasce sił wyższych, rzucił w działalność społeczną całą siłę młodości i kapłańskiego autorytetu, tworząc wszelkimi dostępnymi środkami różnorodne elementy społeczno-gospodarcze, po linii awansu materialnego najbardziej upośledzonej warstwy chłopów.

Trzy dni później wczesnym rankiem odwoził Talaga w paczce zbitej byle jak zwłoki sietniaka na smętarz. Nie odprowadzał go nikt. Ochodził jak żył — samotny. A za przedreptane na piechotę życie spotkał go teraz spóźniony zaszczyt jazdy furmanką. Pierwszy i ostatni raz.

Nad wsią rósł twardy gwar poczynałego się dnia. Ziemia jak potężna kadzelnica dymiała gestym oparem upojnych woni przesyconych promiennym szaleństwem słońca, które nad rozległą kołyską świata pochylało właśnie gorącą matczyną twarz. Było niby jak zawsze: u kominów chwiały się pióra dymów, skrzyптаły żurawie i porkiwalo pedzone na Zawsie bydló. Ale już zaczynało się inaczej — szło nowe.

Oto właśnie na dworskie pola wstąpiła gromada nędżnie odzianych ludzi, patrząc z najgłębszym zachwytem na srebrne błyski mierzniczej taśmy, którą sprawiedliwe ręce nowego porządku odmierzały platy gruntu, dzieląc ziemię jak matka chleb — po równie dla wszystkich kromce.

Józef Bieniek

Jak

książkę dla

Artykuł Marii Zmigrodzkiej pt. „Wieś czeka na krytykę literacką” w 37 numerze „Wsi” dotknął jeszcze raz sprawy wcale nie białej — problemu czytelności książek. Miałoby czeka na krytykę literacką. W takim samym stopniu potrzebna jest ona ośrodkom kulturalnym, działaczom i świetlicom wiejskim.

Zagadnienia komentarzy, objaśnień i recenzji popularnych, muszą być rozwiązane w skali bardziej powszechnej i to możliwie szybko. Nie możemy rzucić przez KUK masy książek za wszelkie opłotki, jeżeli nie wiemy, co z nimi tam się stanie, jak zostaną odczytane, w co się istotnie zamienią w świadomości czytelników.

W zasadzie godzę się na linię podziału: recenzja elitarna (tzn. po prostu swobodna recenzja tygodnika literackiego) i recenzja popularna o założeniach dydaktycznych. Charakteru pierwszej nie zmienimy; niech będzie dalej wymyślna nawet z opuszczonymi ogniwami rozumowania — tyle liczną i twórczą artystycznie. Drugą należy stworzyć. Wiadomo bowiem, że takiej się nie uprawia — nie dają jej ani „pisarze wśród swoich czytelników”, ani wstęp do książek, ani prasa. Nie daje przygotowania czytelnika do szkoły, bo brak jej podreczników. Niesprzyjające warunki, wskutek których czytelnik nie jest jeszcze uzbrojony w odpowiednie narzędzia odbioru i rozumienia bogatych już dzisiaj plonów działalności wydawniczej, są bardzo proste do opisania: książki nowe i wznawiane wychodzą zbyt szybko, aby zostały ujęte w przedyskutowane lub ustalone naukowo komentarze. Z tych powodów — w trosce o stworzenie właściwego klimatu czytelniczego — trzeba użyć narzędzi bardziej elastycznych, po prostu specjalnych.

Zagadnienie w najogólniejszym zarysie przedstawia się w 3 punktach:

1. trzeba doprowadzić do tego, aby przeciętny czytelnik zrozumiał przede wszystkim tekst w znaczeniu dostojnym. Dwa czy trzy lata temu akcja przeciwko barbarzyńcom uprawiającym barbarzyńską datą wyniki zupełnie zadowalające. Może znajdują się u nas pisarze, którzy zaczęli sami badać w rozmowach i ankietach wyrażenia, w swych książkach niezrozumiałe, wyrażenia, które trzeba usunąć, aby książka stała się naprawdę czytelna. Chodzi więc o to, żeby czytelnik „wiedział” w przybliżeniu, co oznaczają wszystkie wyrazy czytanej książki.

2. należy dalej zatroszczyć się o to, aby nazwy i zdania czytane go tekstu zostały zrozumiane. Osiągnię nie się to wtedy, gdy wyodrębnioną jednostką tekstu czytelnik będzie mógł połączyć z innymi, znanymi mu już dobrze zjawiskami, kiedy będzie wiedział, że Wolter to nie tylko pisarz, ale i „rewolucjonista” i filozof, że Jan Kazimierz to nie tylko król, ale i awanturnik itd. Pomocą będzie starannie zestawiony komentarz do książki, no, i naturalnie zasób wiadomości z przeczytanej już literatury.

3. najważniejsza zaś, choć uwarunkowana dwoma poprzednimi punktami jest konieczność właściwego wyjaśnienia tekstu w jednostkach „wyższej rzędu”: właściwa ocena klasowa działalności bohaterów i stanowiska autora, ocena nastawienia uczuciowego bohaterów i akcji itd. W zależności od wrażliwości intelektualnej i uczuciowej, od energii psychicznej, krytycyzmu czytelnik zdobywać on może wiele innych oczywistych kulturowych wartości, każdy inne, z tego samego tekstu. Ale wskazane wyżej „objaśnienie siebie” książki zagwarantuje, że czytający nie ograniczył się do bez-



Stron LXXVI+150 Cena zł 500.-

uzbroić nowego czytelnika

myślnego odcyfrowania wyrazów, lub przesłania akcji jedynie w celu biernego, fikcyjnego i marzycielskiego uczestniczenia w życiu bohaterów powieści. Takie typowe drobno-mieszkańskie przeżywanie literatury w oderwanej od świata alkołowie jest złe i uważać by je należało za marnowanie wysiłku autorów, wydawców i bibliotekarzy.

Dla zaspokojenia szkiełko wymienionych potrzeb służyć powinny rozmaite narzędzia. Jedne z nich związane są z książką bezpośrednio.

Czas już najwyższy, aby wydawcy umieli odróżnić książki popularne od „elitarnych“ i raczyli zauważyć masowego czytelnika. Niechże się nie odnosi to tylko do wydawnictw KUK, przecież Balzaka czyta na pewno wiele osób poza kręgiem uniwersyteckim, i właściwie każda książka obca (tłumaczona) wymaga słowniczka. *Słowniki*, dobrze obmyślane, obszernie — powinny zjawiać się w naszych wydawnictwach jako znak, że istotnie spodziewamy się powodzenia ofensywy kulturalnej. Jeżeli dziś nie wierzymy w szeroka poczynność pewnych książek, to przyjdzie ona za lat kilka. Jeszcze większej troski wymagają objaśnienia do tekstu — muszą być liczne, dostatecznie zwięzłe a wyliczne, tak, które istotnie nie tylko zapewnią wszystkim „białe plamy“ w tekście, ale nadto narzucają trafną interpretację realiów, akcji i charakterów. Wreszcie wstępy lub posłowia, pojawiające się dotąd sporadycznie, powinny stać się regułą dla bardzo wielu wydawnictw. Mają spełniać podstawową służbę informacyjną: skąd pochodzi tekst (pierwodruk, jego data, który przedruk), metryka rodzaju i gatunku (najbardziej zasadnicze określenie tematu oraz rodzaju), informacja o autorze, powiązanie książki z przynależną jej strukturą historyczno-kulturalną (to zajmie najwięcej miejsca). Ostatnio wymieniona kwestia czyni dotychczas przedrukowane wstępy (choćby dobre wstępy Boyowskie) zupełnie niewystarczającymi.

Wracając do wspomnianego artykułu Marii Żmigrodzkiej, podkreślić warto, że istotnie najtrafniejszym rozwiązaniem „krytyki literackiej dla mas“ będzie wydawanie popularnych zeszytów. Jest to obok objaśnień wprowadzanych do samej książki, drugie dostatecznie elastyczne narzędzie, wygodne w okresie prób i ustalania formy, a gwarantujące należytą opiekę nad procesem czytania.

Jednostką opisu (a więc i zeszytu) nie może być jednak cykl tematyczny (np. polska powieść o wsi), ponieważ zbyt często wymagałyby uzupełnień w miarę pojawiania się nowych pozycji wydawniczych. Jednostką musi być po prostu książka. Zresztą przemawiałyby za tym i rozmiary „zeszytu“: jak uczy doświadczenie „objaśnienie“ jednej książki z trudnością mieści się w arkuszu druku, często ten arkusz trzeba będzie pomnożyć dwukrotnie i trzykrotnie.

Określić ramowo co ma zawierać takie objaśnienie (recenzja popularna) jest stosunkowo łatwo. Zresztą zanim jeszcze „Kuznica“ w roku ubiegłym zaczęła pouczać jak to niedzielne dodatki do dzienników mogłyby szerzyć kulturę czytelnika, zwłaszcza na prowincji, ustaliliśmy drogą korespondencji ze środowiskami robotniczymi i ankietę pewien schemat „informacyjny“ dla tego rodzaju „Trybuny Dolnośląskiej“ we Wrocławiu. Przeszło przez nią kilkadziesiąt książek opisanych mniej więcej w jednokrotowy sposób. Portret autora i krótka, kilkudziesięciu - wierszowa informacja o nim — służyły właściwie celom bibliograficznym. Następowat ciekawy fragment, lub fragmenty jako przykłady do dość obszernego tekstu, który normalnie obejmował: określenie grupy tematycznej i charakteru książki, wskazanie konkretnego historycznego czasu jej powstania i zamierzonego działania, omówienie trzech do pięciu doświadczeń wyodrębnionych zagadnień, które znajdowały ilustracje w drukowanych obok fragmentach.

Wydaje się, że niebezpieczne byłoby dokładniejsze określenie, co powinna zawierać „recenzja popularna“ — jeżeli nie będzie krepowana szupczością miejsca, ostatni jej punkt można rozszerzyć, pamiętając jednak, że bardzo ważne będzie konkretne stawianie i omawianie zagadnień a unikanie wszelkiej zawilosci i chwilejności interpretacyjnej. W zeszytach byłby jednocześnie słowniczek i objaśnienia do tekstów cennych a niedbale wydanych.

Wydaje się, że powołane i odpowiedzialne za tę robotę powinny być instytucje wydawnicze. Niech się sprawa rozegra między instytutem badawczym oświaty dorosłych, a „Czytelnikiem“, „Książką i Wiedzą“ i KUK i rzecz jasna odpowiednimi czynnikami rządowymi.

Julian Lemański

WYSTAWA CHOPINOWSKA

Ukazać życie i dzieło Chopina, podkreślić siłą węg, łączącą jego twórczość z narodowymi i ludowymi źródłami kultury polskiej, dać wyraz dziejom idei chopinowskiej w sztuce i wreszcie mówić o kulcie Chopina w Polsce dzisiejszej, o znaczeniu jego puszcziny dla pokojowej współpracy narodów — oto rozległe, ambitne i jakże odbiegające od utartych wzorów założenia ideologiczne otwarte w Muzeum Narodowym Wystawy Chopinowskiej.

Aby tę bogatą treść wyrazić środkami plastycznymi, organizatorzy wystawy obrali trafną drogę połączenia materiału ilustracyjnego z tekstami. W ten sposób symboliczna wymowa ekspozycji i elementów plastycznych wiąże się w całość z elementem literackim, narracyjnym, zapewniając przez to ciągłość skojarzeń, pełną czytelność i „współbrzmienie“ wątków: biograficznego, historycznego i społecznego. Przy pomocy środków tak prostych jak planse i napisy wystawa podkreśla najważniejsze momenty z życia artysty, ukazuje wpływ epoki i środowiska, a wreszcie oddziaływanie poszczególnych wielkich, współczesnych Chopinowi indywidualności na kształtowanie się jego losów i dzieła. Jest niewątpliwą zasługą organizatorów i projektodawców wystawy, że przy pomocy tych samych prostych i skromnych środków potrafili oddać klimat wielkości tak trudno przełumaczalnej na język inny niż język muzyczny.

U wejścia na wystawę wita nas wielki fotomontaż — symbol ziemi polskiej, na którego tle widnieje sztandar z wkomponowanym wienem znakiem Roku Chopinowskiego. Wymowę tego fragmentu podkreśla i wzbogaca umieszczenie obok grupa autentycznych instrumentów i ekspozycja polskiej sztuki ludowej i widniejącej ponad nią cytata z „Promethidiona“ C. Norwida: „I stąd największym prostym ludem poeci, co nuci dłońmi ziemią brązową, a wieszac periodem pieśni i profeta, odlatującym z pieśniąmi od ziemi. I stąd największy prosty lud muzykiem, lecz muzyk jego płomiennym językiem“.

Tę węg muzyki Chopina z pierwiastkiem ludowym i narodowym, węg która jest jednym z źródeł nieprzemijającej wielkości tej muzyki, wypukła biegnące wzdłuż dalszych sal wystawowych pasmo — rodzaj stylizowanego fryzu graficznego, przedstawiającego krajozbiory, sceny i tańce ludowe. Niestety, realizacja tej słusznej intencji i projektu nasuwa pewne zastrzeżenia. Ze względu na jednolicie szarą w kolorze a jednocześnie nieco zbyt ciężką fakturę, wyłamującą się z całokształtu wrażeń wzrokowych, pasmo ma silne akcenty dekoracyjne, podczas gdy należałoby raczej dążyć do podkreślenia jego akcentów symbolicznych.

Następne sale poświęcone są biografii kompozytora, jego środowiskowi rodzinnemu i artystycznemu w Polsce i Francji. Równolegle przebiega dołem pasmo ekspozycji złożonych z manuskryptów pierwszych, a potem dalszych utworów, fotografii, głosów prasy i krytyki, programów koncertowych i publikacji. W ten sposób, rozmyślając nad rozwijającą się twórczością Chopina, wystarczy wnieść wzrok, aby zapoznać się z warunkami, w jakich kompozytor żył w danym okresie, z ludźmi, z którymi się stykał, z ideologią polityczną i społeczną i wreszcie z kryteriami estetycznymi, wśród których formował się jego światopogląd. Na jednej z plansz widnieją tu podobizny pierwszych i jedynych nauczycieli — Żywnego i Elsnera, dalej fotografie sławnych podówczas artystów — Hummela, Lipińskiego czy śpiewaczki Catalani, a obok portrety Mochackiego, Lelewela, Goszczyńskiego i innych — grona przyjaciół świadczącego o żywych związkach Chopina z najbardziej postępowymi prądami umysłowymi epoki. Liryicznym akcentem subiektywnym wplatają się w tę kompozycję takie pamiątki, jak poświęcony pierwszej miłości — Konstancji Gładkowskiej, manuskrypt *Larghetto* z Koncertu f-moll, czy rękopisy listów do rodziny i przyjaciół.

Mapa Europy z oznaczeniem miejscowości, w których koncerto-

wał, wprowadza nas w następnej sali w okres podróży Chopina. Trafnie rozmieszczone akcenty wprowadzą na myśl czasy narastającej w Europie po rewolucji francuskiej i upadku Napoleona walki krzepnącego w się mieszczaństwa z resztkami feudalizmu, gdy już pojawiają się pierwsze zwiastuny przemierzania tegoż mieszczaństwa z dawnym wrogiem w nowej walce — z nowymi siłami społecznymi. O oddziaływaniu tych nastrojów na Chopina mówi nam fragment jego listu do Tytusa Wojciechowskiego z 1831 roku, opisujący wzburzenie ludu paryskiego, tłumione policyjnymi metodami przez monarchię Ludwika Filipa. U dołu umieszczono w gablotkach fotografie manuskryptów tych utworów Chopina, dla których inspiracją były wypadki polityczne tego okresu, szczególnie powstanie listopadowe w Polsce.

Portrety George Sand, Wiktora Hugo, Micheleta i Balzaka a obok przyjaciół spośród polskiej emigracji powoitanowej — Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Lelewela, uzupełniają obraz środowiska, w którym żył Chopin w okresie, kiedy romantyzm podmiowywał kulturę mieszczańską nowymi, dynamicznymi tendencjami i kiedy muzyka wielkiego polskiego geniusza poczyniała oddziaływać jako jedna z najpotężniejszych sił rewolucyjnych.

W sali ostatniej ustawiono nieco na uboczu w kilku gablotkach pamiątki rodzinne, które wzbogacają atmosferę wystawy o akcenty osobiste i intymne. Powszechno uważa widzów skupia na sobie stojący tu fortepian, na którym Chopin grywał w Warszawie.

Trzy dalsze dwustronne plansze obrazują dzieje muzyki i kultury Chopina w latach 1849-1949, w okresie coraz ostrzejszej walki klasowej a tym samym coraz ostrzejszych zmagani estetycznych kryteriów kultury mieszczańskiej z duchem nowej, na wskroś humanistycznej kultury ludowej i narodowej. O roli, jaką w tej walce ideologii odegrała muzyka Chopina świadczy najwymowniej czarna,



Głowa Fr. Chopina — rzeźba Haliny Ostrowskiej

puszta plansza z białym napisem, oznajmującym o zakazie wykonywania jego utworów w Polsce w latach okupacji hitlerowskiej.

Ku wyjściu z wystawy biegnie łukiem wielki fotomontaż przedstawiający kilkudziesięciu tłum. Na tym tle przebiegają poprzeczni akcentami fotografie ujmujące w artystycznych skrótach te wszystkie dziedzin życia w Polsce Ludowej, w których muzyka spełnia swą rolę w upowszechnianiu i umosowieniu kultury. Obok widnieją w gablocie powojenne wydania dzieł Chopina, publikacje i wreszcie fotografie polskich kompozytorów i

muzyków współczesnych, kontynuujących dziś w jego duchu pracę nad stworzeniem narodowego, opartego o najczystsze źródła sztuki ludowej stylu muzycznego.

Spośród wystaw monograficznych jest to pierwsza wystawa unikająca świadome i konsekwentnie kolekcjonerskiego nagromadzenia ekspozycji na korzyść problemowej interpretacji tematu. Jej kompozycja zdradza na każdym kroku troskę o wzbogacenie wymowy żywej myśli — żywego kultu Chopina w dzisiejszej Polsce.

Z. Z.

JFRZY BROSKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

wyunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO



16

Pan Mikołaj niecierpliwie czeka na listy. Pierwszy jednak nie obeszło go zbytnio. Drugi, datowany z 8 sierpnia, czytał szybko i z wrzaskami irytacji. Dopiero ostatnia stronica rozpoznała mu czoło — przejrzał ją raz, drugi, trzeci: „Jużem się zdecydował... wybrałem na koncert instrument Graffa... mam nadzieję, że mi Pan Bóg dopomóż — bądźcie spokojni!“

Pan Mikołaj przynkował oczy — jego jedyny syn wchodził w wielki świat. Jak go przyjmą? Tej nocy nie mógł usnąć, pani Justyna także. Dziewczęta gadały do późna, trzeba je było aż skarcić. Nie pomogło. Cały dom każdym nerwem czekał następnego listu. Nadszedł wreszcie:

„Z przeszłego listu wiadomo Wam, Najukochańsi Rodzice, że się dałem namówić na danie koncertu; wieczoraj więc, to jest we wtorek wieczorem o godzinie 7-mej, na teatrze cesarsko-królewskim opery na świat wystąpiłem.“

Pan Mikołaj czyta na głos. Matka i siostry trzymają się za ręce, a Ludwika jest bliźsza od swej białej sukienki. Pan Mikołaj odkaślnął:

„Skorom się na scenie pokazał, dostałem bravo; po odegraniu każdej wariacji takie były oklaski, że nie słyszał tutti orkiestry. Po skończeniu, tyle klaskano, że musiałem drugi raz wyjść i ukłonić się. Freie Phantasia, lubo nie tak szczególnie mi się udala, jednakże silniej jeszcze bto bravo i znowu potrzeba było ukazać się na scenie.“

Pan Mikołaj prostuje się dumnie: „Przyszedł wieczoraj na scenę hr. Dietrichstein, osoba bliska cesarza, mówił z mną dużo po francusku; chwalił i zachęcał...“

— Osoba bliska cesarza... — zamysłili się pan Mikołaj.

Trzeci list przyszedł 16 sierpnia: „...w przyszły wtorek dam drugi koncert...“ — czwarty list zaczynał się takim zdaniem: „Jeżeli pierwszą razą zostałem dobrze przyjęty, to wieczoraj jeszcze lepiej“. Kończył się zaś zapowiedzią dalszej podróży: „Za dwie noce i jeden dzień będziemy w Pradze; o 9-jej wieczorem siadamy do Ellwagenu; śliczny będzie wojaż, śliczna kompania“.

Po Pradze oprowadzał młodych podróżników uczony profesor, sam Hanka:

Za tydzień, dwa Fryderyk będzie już w domu.

Wyprzedził go grube koperty. Recenzje! Przysłano numery „Wiener Theater Zeitung“ — oraz „Zeitschrift für Kunst, Literatur, Theater und Mode“, a także noty zamieszczone w „Allgemeiner musikalischer Anzeiger“ i w „Der Sammler“ — na koniec rozentuzjawnym Eisner przyniósł lipską „Allgemeine musikalische Zeitung“, w której wiedeński korespondent zasynalizował koncerty pana Chopina, fortepianisty z Warszawy.

Uczniom swym odczytał notę korespondenta lipskiej „Allgemeine musikalische Zeitung“, co w panu Chopinie, fortepianistcie z Warszawy uznał „artystę, który nie poprzeczony żadnymi fanfarami reklamy, zjawia się na muzycznym horyzoncie, jako jeden z najjaśniejszych meteorów“. Zazwyczaj — a tym razem



także — pan Mikołaj zakończywszy swą opowieść dodawał mimochodem, że między innymi składał Fryderykowi gratulacje hrabia Dietrichstein. Hrabia Dietrichstein jest, jak wiadomo, osobą bliską bardzo cesarza — następowała jeszcze sucha informacja.

Do tych dni pan Mikołaj ciągle jeszcze nie był pewien swej decyzji. Mimo wszystkich warszawskich triumfów syna krył w sercu zwątpienia i nieufności. Fryderyk należał do pokolenia, które otwarcie zakłada protest przeciw filozofii życia i filozofii myślenia swych ojców. Czasami wybuchywały nawet krótkie scysje — o Mickiewicza, Mochackiego, o poezję i sztukę. Fryderyk wprowadzał do domu ferment. Ośmielał się nawet

zbyt ostro jak na profesorski zmysł lojalności cmawiać sprawy publiczne, postępkę Wielkiego Księcia i samego Najjaśniejszego Pana.

Mądrość ojowska kazała pogodzić się z faktem, którego nie odwrócić żadna siła Najważniejsza jest przecież — tak sądzi profesor — sprawa kariery, sprawa wejścia w świat zaszczytów i godności. I jak romantycznie czy antyrządowe teorie Fryderyka pan Mikołaj właściwie dość lekce sobie ważył, tak wybór drogi, którą potoczy się życie jedynego syna był dlań ciągle jeszcze wielką niewiadomą.

Warszawie nie wierzył, nie wierzył po prostu w jej przyszłość. Przecież tuż po koronacji na króla Polski car Mikołaj, odpowiadając przerosowi Senatu — który przypominał konstytucyjnie i terytorialnie obietnicę Aleksandra — nie zważał się ani na moment w doborze słów. Usmiechał się z wyraźną złośliwością wypowiadając zdania, na które — wiedział o tym — czeka cały naród:

„Nie wiem jakie były rzeczywiste zamiary mego brata w tej mierze, sądzę jednak, że owe obietnice były tylko polityczną komedią. A ja komedii grać nie myślę...“

Słowa te padły w kilka godzin po zaprzysiężeniu konstytucji. Posyłało się w całym kraju. Echo oddało pierwsze słowo — „wiedzi“ — rewolucja. Szeptano je na razie z ucha do ucha. Ale takie słowo krzyczy nawet w szepcie. Pan Mikołaj posłyszawszy pierwszą plotkę o tym słowie zbladł — przypomniał sobie zapewne dymy pożarów nad Pragą.

Oto cicha przyczyna Fryderykowej podróży, niespokojnego czekania na listy i wielkiej radości tych dni. A wiec wiadomo już: przed jedynym synem otwiera się droga na spokojny świat.

Fryderyk zdał swą próbę generalną — poznał hrabiego Dietrichsteina i hrabiego Lichnowskiego i Gallenberga — Haslinger, wydawca wiedeński, drukuje jego dzieła — noblessa Wiednia i Dreżna cen w nim rodzając się sławę — krytycy Wiednia chwala — Dobry Boże!

Nad Warszawą gromadzą się chmury. Mimo to, pan Mikołaj, myśląc o synu, po raz pierwszy od wielu lat karmi swe serce nadzieją i dumą, zapomniawszy o wszelkiej trosce.

*

Powrót do domu i do miasta odbył się jak wjazd triumfalny. Wprawdzie ktoś tam, czy jacy tam, już naplotkowali, a nawet notki w gazetach poprzekrecano na niekorzyść, ale czy mówka weźmie na kły słońca? Plotki i przekręty złościły niewiele — zepsuły jeden

wieczór. Inne natomiast dni i wieczory dają zadośćuczynienie, więc jesień wydaje się być wiosną.

W jednym z radosnych listów napisał takie słowa — starszy dziś jestem i doświadczeńszy o cztery lata. To jasne: z Warszawy wyjechał młody, stremowany podróżą i nadzieją na koncert we Wiedniu warszawski fortepianista. W kuferku podróżnym kompozycje już po troszce obce: Wariacje na mozartowski temat i Rondo à la Krakowiak. Do Warszawy zaś wrócił „jeden z najdoskonalszych fortepianistów, pełen delikatności i uczucia“ — „młodzieniec idący swoją własną drogą“ — „mistrz, który swą biegłość, jako fortepianista, ukazał w stopniu doskonałym“. Tak pisali krytycy z „Der Sammler“ i z „Zeitschrift für Kunst“ — zaś sam redaktor Bauerle, postrach koncertantów, przyznał Fryderykowi „swoją własną drogę“.

Pierwszymi haustami sławy nie można się nie upić. To, co uważało za treść nasennych bajek nagle poczęło stawać się ciałem. Cesarzsko-królewski teatr opery, w którym na świat wystąpił należy do najświetniejszych i najpiękniejszych na świecie!

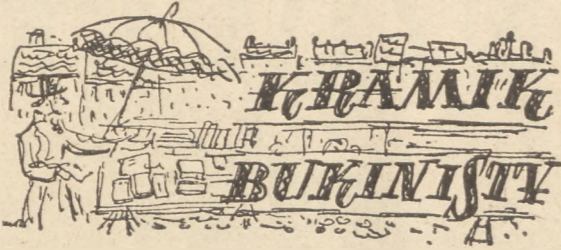
Od tych miesięcy serce Fryderyka poczyniła rosnąć tęsknota do sławy, głodniej w czterech stronach Europy. Nie jest to już nierealna tęsknota chłopca, którego zna tylko warszawski pół-partykularz. Fryderyk starszy i doświadczeńszy o cztery lata wchodzi w wiek męski. Po pierwszej próbie swej siły i głosu tęskni nie marzeniami, lecz tęskni do nowej próby. Tak tęsknił tylko ci, którzy wiedzą o zwycięstwie. A zatem — nie: w i e r z a, lecz: w i e d z a!

Pomiędzy wszystkie przyjęcia, opowieści, kwiaty i komplementy, którym Warszawa podejmowała młodego triumfatora, Fryderyk roztaczał przed słuchaczami ciągle te same opowieści, jak paw rozwijający zawsze ten sam ogon. Uważnieli słuchacze bez trudu odkrywali pod pokostem skromności barwy młodzieńczej puchy i Maurycy nawet coś tam mruknął złośliwie pod nosem. Fryderyk — w poczuciu swej racji — ani się spieszył, ani obraził. Skąd ta odwaga? — Pytajcie chłopca, któremu ofiarowano pierwszy pocałunek, lub wodza, który wygrał pierwszą bitwę.

Jesień tonie w deszczu. Polski październik podbala drzewa i krzewy — lasy stoją w czerwieni. Pożarów tych nie ugasi żadna ślota. Idąc ulicami miasta stapaż wśród szumu i szelestu — górą szumi wiatr, pod stopami szeleszczą liście czerwone, złote, brązowe. Deszcz zaś gra co noc ciche werble na szymbach.

Jesień jest porą pracy — tej jesieni rozbiła się bania z muzyką. Na facytce Pałacu Krasinskich małe okno świeci do najpóźniejszej nocy, zaś mury budynku niosą dźwięk fortepianu aż ku parterom. Nawet przechodzień stojąc pod oknem posłyszysz pobrzęk strun, jeśli przytuli ucho do chropawej jesieni.

(Dalszy ciąg nastąpi)



Pojedynek „Panie Kochanku” z nieboszczykiem

Z jednej strony kościoła katedralnego w Nieświeżu znajduje się dzwonnica, a z drugiej kaplica, zwana Bułharynowską. Tu leżą szczątki dziada mego Bułharyna, pana na Hryciewiczach, który zabił w sporze pogranicznym szlachcica Uzdowskiego. Załóżąc swego postępkę, do którego doprowadziły go wrodzona zapalczywość i porwliwość, dziad mój wybudował kaplicę i zrobił zapis na kościół, pod warunkiem, żeby go pochowano w kaplicy i żeby na wieki wieczne co tydzień odprawiano mszę za jego duszę.

Pewnej Wielkanocy książę Karol Radziwiłł „Panie Kochanku”, jadąc do kościoła, usłyszał, że woźnica powiedział do fryzjera: „Jedźmy prosto, obok kaplicy Bułharynowskiej!”

Wróciwszy do zamku z licznym orszakiem dworzan i popiwszy przy święconym sporą ilość węgryna, „Panie Kochanku” zauważył, że wśród gości, którzy przyjechali złożyć mu czolobitność, nie ma ani jednego Bułharyna. Książę rozgniewał się. W tym czasie stryjczy brat mego ojca, podkomorzy Bułharyn, przeszedł z całą swą partią na stronę księcia Sapiehy, Kancelarza Wielkiego Litewskiego, przeciwnika Radziwiłłów. Ta zdrada wzbudziła gniew księcia Karola.

— Jakim prawem pan Bułharyn umieścił się obok mego kościoła? — zapytał „Panie Kochanku” obecnych. — Wyrzucić go natychmiast na pole! Ja nie chcę, żeby zabójcy leżeli obok Radziwiłłów!

Kanonik Goss, spowiednik księcia, wyjaśnił, że prawo kanoniczne zabrania wygrzebywania ciał z grobów.

— W takim razie przywieźć armaty i kulami zniszczyć kaplicę! — wykrzyknął „Panie Kochanku”.

Książę Jan, dominikanin, na obiedzie czwartkowym

Na jednym z obiadów czwartkowych u króla w Warszawie pokazał się na stole garnce wystrzyżone kielich, a jak inny mówią, urna. „Kto ten puchar spełni od razu duszkiem?” — zapytał król; ale nikt się nie odezwał, każdy tylko ramionami zżymał ze strachu, bo strach było spojrzeć na tego obrzymka; nawet sławny bibuła Konarzewski nie śmiał się nań targnąć: przez cały więc obiad obrzym stał nietykalny. Aż mając już wstawać od stołu, książę biskup łucki, sławny polski historyk i wierszopis, odezwał się do króla:

— Najjaśniejszy Panie, znalazłem! Znalazłem!

— Co znalazłeś, książę biskupie? — pyta go król.

Znalazłem ukrytego w zaciszu bohatera, który da radę temu pucharowi.

— A ktoż to? — pyta znowu król.

— Jest tu w pewnym konwencie bractwek, co go jak nic, z największą łatwością duszkiem aż do dna wypróżni.

— A ciekawy jestem — zawołał król — niechże ten bractwek przyjdzie i pokaże nam tę sztukę. Poślij po niego, książę biskupie, radbym, aby się kto wynalazł taki, co by przesadził Konarzewskiego.

A Konarzewskiego, jak Bóg Bogiem, niełatwo było przesadzić. Znałem go osobiście; był to zelant o puchar.

— Ciekawy jestem i ja — odezwał się waleczny, zardzorny o swą sławę jenerał; i wszyscyśmy razem ciekawi.

Tymczasem wstali od stołu, a książę biskup zaraz posłał po bractweka. Bractwek przychodził, biskup go prezentuje królowi i pokazuje mu wizytę ze stołu puchar. Zapytuje, czy go jednym duszkiem wypróżni. Bractwek, obejrząwszy puchar, oświadcza z największą pokorą, że to dzieło przechodzi jego siły.

— Nie mogę, nie mogę — tłumaczy się potulnie, kłania się i wychodzi z sali.

Wtedy triumfujący jenerał zaczyna żartować z biskupa. Ale bractwek idzie do kredensu, gdzie była służba królewska, i prosi, aby mu podać ten sam puchar: marszałek sam mu go przynosi, a bractwek znowu, aby mu go winem, jakiego u stołu pili, napełnić.

— To dla próby, dla próby — i wzięwszy w obie ręce nalaną winem garncewą jampukę, próbował, czy jednym duszkiem wypije, i z podziwieniem całej służby wypił. Wtedy wraca do sali, gdzie jeszcze król z gośćmi siedział, otwiera drzwi po cichu i sprostęgłszy patrzącego nań księdza biskupa, kiwa na niego, aby się do drzwi zbliżył.

— Co tam? — pyta go książę biskup.

— Mogę, mogę — odpowiada mu po cichu bractwek. — Spróbowałem dopiero i udało się próba.

— Chodź, chodź — ciągnie go przed króla książę biskup

Odpowiedziano mu, że przy takiej operacji można spalić całe miasto.

— Jeżeli tak, to ja sam pojedę i rozprawię się z tym Bułharynem. Zaprzęgać konie!

Gdy zajeżdżała karetą, książę poprosił jednego ze swych faworytów, Leona Borowskiego, aby pojechał z nim do kaplicy. Gdy przyjechali do kościoła, „Panie Kochanku” prosi Borowskiego, aby udał się do kaplicy i w jego imieniu wyzwał Bułharyna na pojedynek.

Należało wypełnić rozkaz. Borowski udaje się na wyznaczone miejsce i donośnym głosem oznajmia:

— Panie Bułharyn! — Jaśnie Oświecony Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, wyzywa cię na pojedynek!

— No i co? — pyta z karety „Panie Kochanku”.

— Milczy — odrzekł Borowski.

— A więc tchórz! Powiedz mu to — krzyczy Radziwiłł.

— Jaśnie Oświecony uważa cię za tchórze! — powtarza przed gromem Borowski.

— No i co? — pyta znowu Radziwiłł.

— Milczy.

— Powiedz mu, że jest kiep.

Borowski wypełnił rozkaz księcia, który znowu zapytał: „No i co?”

Żeby zakończyć zabawę, która mu się znużyła, Borowski odpowiada:

— Milczy, ale zdaje się, że sam idzie, bo w grobowcu coś się rusza.

— Jeżeli tak, to zawracaj konie. Karol Radziwiłł nie chce mieć nic do czynienia z ludźmi, których trzeba trzy razy wyzywać na pojedynek. Trzeba było się odezwać za pierwszym razem.

Tadeusz Bułharyn. Wspomnienia. Petersburg. 1884.

KRONIKA KULTURALNA

UROCZYSTOŚCI ZWIĄZANE Z KONKURSEM CHOPINOWSKIM

Do ciekawszych imprez, związanych z trwającym od 15 września IV Międzynarodowym Konkursem im. Fryderyka Chopina należy m. i. koncert historyczny, na którym zostanie odtworzony przez Stanisława Szpilnalskiego poezjalny koncert Chopina, wykonany przez niego w Warszawie w 1830 roku; 15 października po ogłoszeniu wyników konkursu zostanie wykonany przez laureata pierwszej nagrody polonez; 17 października, w setną rocznicę śmierci Chopina, odbędzie się uroczysty recital fortepianowy laureata pierwszej nagrody — na fortepianie Chopina.

WYSTAWA O WARSZAWIE W BUENOS AIRES

Polonia argentyńska, która podjęła akcję pomocy odbudowującej się Warszawie, zorganizowała w Buenos Aires wystawę ukazującą zniszczenie stolicy i jej dotychczasowy dorobek na polu odbudowy.

Wystawa obejmuje planse z wykresami, zdjęcia ilustrujące wygląd zniszczonego miasta bezpośrednio po oswojeniu i Warszawę w chwili obecnej.

WYSTAWA „KSIĄŻKI POLSKIEJ”

Biurowo Współpracy Kulturalnej z Zagranicą organizuje wielką wystawę „Książki Polskiej”, która otwarta zostanie w najbliższym czasie w Pradze czeskiej. Wystawa obrazowa będzie nasz powojenny dorobek wydawniczy, obejmujący m. i. dział przekładów z literatury czeskiej i słowackiej. Projektowane jest dołączenie do wystawy, otwartego obecnie w Niemczech pokaz polskiej ilustracji książkowej.

NOWA KSIĄŻKA O CHOPINIE

Cenną pozycją wydawniczą w Roku Chopinowskim jest wydana niedawno antologia pt. „Fryderyk Chopin natchnieniem poetów”.

Zawarte w antologii wiersze o Chopinie, pisane za życia kompozytora i po jego śmierci, stanowią 200 pozycji. Prócz tego praca ta zawiera 70 ilustracji, w tym wiele dotychczas niepublikowanych.

Jest to pierwszy w Polsce tego rodzaju zbiór wierszy o Fryderyku Chopinie — oryginalny dokument naszej kultury duchowej oraz świadectwo kultu, jaki naród polski żywi dla swego wielkiego muzyka.

REFORMA STUDIÓW POLONISTYCZNYCH

Instytut Badań Literackich jest pierwszym w Polsce ośrodkiem planowanych badań w tym zakresie. Przeważają one na przy pomocy marksistowskich metod naukowych naszą literaturę, wyodrębniając z niej wszy-

stko co postępowe, humanistyczne i twórcze, słowem dąży do wypracowania nowego, klasowego, marksistowskiego punktu widzenia zagadnień literackich zarówno przeszłości jak i teraźniejszości.

Instytut Badań Literackich wziął żywy udział w pracach nad projektem reformy studiów polonistycznych, przygotowywanym przez Ministerstwo Oświaty i Radę Główną Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Projekt ten zmierza do zerwania z bezpłodnym rutyniarstwem i ideologicznym eklektyzmem na rzecz ducha nauki marksistowskiej. Przewiduje wprowadzenie wstępności studiów. Dzięki tej reformie studia polonistyczne zostaną powiązane z potrzebami wysuwającymi przez życie. Trzyletnie bowiem studia pierwszego stopnia będą kształcić nauczycieli — polonistów, działaczy oświatowych oraz bibliotekarzy. Drugi, wyższy stopień studiów trwający jeszcze dwa lata przygotowywać będzie pracowników naukowych w zakresie historii literatury, językoznawstwa oraz krytyków literackich i wyżej kwalifikowanych pracowników w zawodach uwzględnionych na stopniu pierwszym.

Całość studiów polonistycznych nabierze dzięki reformie ważnych cech praktyczno-użytkowych.

ZMIANY W PAŃSTWOWYM TEATRZE POLSKIM

Teatr Polski — naczelna scena państwowa zmienia obecnie swoje oblicze. Do zmiany tej przyczynia się m. i. stanowisko kierownika artystycznego (Leon Schiller), który ponosi pełną odpowiedzialność za stronę ideologiczną i poziom widowiska, pełniąc oprócz tego funkcję głównego reżysera przy kolegium reżyserkim. Poza tym nowoutworzone Biuro Dramaturgiczne, którego prowadzenie powierzono Zygmunutowi Kałużyńskiemu z Paryża będzie opracowywało treści programów teatralnych w formie komentarzy do poszczególnych przedstawień. Poza kolegium reżyserkim powstaje kolegium artystyczne, którego przedmiotem badań będzie obsada aktorska, obficie dopelniona najlepszymi aktorami z całej Polski. Organizator widowisk bezpośrednio będzie trafiał do odbiorcy biletów, wygłaszając w zakładach pracy pogadanki propagandowe oraz organizując dyskusje po przedstawieniu.

W ramach konkursu na sztukę dziecięcą Teatr Polski wystawi „Na dnie” Gorkiego, poza tym „Kordiana” Słowackiego, — jako polską sztukę wielkiego repertuaru, następnie w nowej obsadzie „Wesołe kumoszki z Windsoru” Szekspira, „Aleksandra Puszki” Bułhakowa oraz „Kram z piosenkami” — ludowe widowisko muzyczno-taneczne, opracowane przez zespół słuchaczy Wyższej Szkoły Teatralnej w Łodzi.

KORESPONDENCJA

„ZABAWA W RÓZOWE”

Do Redaktora „Odrodzenia”

Przy sposobności weryfikowania błędnie przez Broszkiewicza określonego koloru fraka młodego Wertnera — Goethego pisze M. R. Frenkel w 39 numerze „Odrodzenia”.

„Leonardo da Vinci w czarnym berecie i różowym płaszczu jedwabnym zachowa te kolory w pamięci ludzkiej bez względu na to, czy czytał ktoś Vasarięgo, czy nie. Koloru jego płaszcza nikomu z szanujących się intelektualistów zmieniać się nie wolno, bo naruszyłyby prawdę o da Vincim. Mógłbym więcej na ten temat i na poparcie mojej tezy przytoczyć przykłady, ale poprzestaję na tym jednym”.

A wielka szkoda, bo właśnie ten jeden nie jest najlepszy i godzi zarówno w tezę jak i w jej autora.

Cała bowiem rzecz w tym, że, jakby kto nie czytał Vasarięgo, nie znajdzie w nim najmniejszej wzmianki ani o czarnym berecie, ani o różowym płaszczu jedwabnym Leonarda.

Ze znanych mi źródeł historycznych jeden tylko autor zwany Anonimusz Gaddianus pisze o różowej części garderoby Leonarda. Nie był to jednak płaszcz, tylko — spodnie. A i ta pozornie tak ekstrawagancyjna różowość nic nie dorzuca do prawdy o da Vincim, bo nasz Anonimusz, jakby w przewidzianiu głębi wniosków, jakie z tego koloru wyciągnąć mogą przyszli szanujący się intelektualiści, dodaje zaraz, że były to spodnie, „jakie zwyczajnie wówczas noszono”, co równa ten różowy szczegół z psychologiczno-historyczną rewelacją, że Fidiusz chodził bez spodni.

Dlatego myślę, że jeżeli ktoś odzieje twórcę Giocondy w płaszcz lila niech się wcale nie martwi. Nie naruszy przez to w niczym prawdy o da Vincim. Może tylko tę z romansu Merezkowskiego. A już na pewno nie zejdzie z tego powodu z pozycji szanującego się intelektualisty.

Jan Wilczek

wywoła żywą dyskusję. Bezpośrednio w niej zainteresowany, uważam za swój obowiązek wyrazić przypuszczenie, że Artur Sandauer pisząc o literaturze zwulgaryzowanej, o „nowym typie grafomanii”, „pretendującej zaledwie do miana literatury ludowej” miał na uwadze i moją powieść „Numer 16 produkcji”, która ukazała się ostatnio nakładem „Książki i Wiedzy”. Przypuszczenia swe opieram na fakcie, że autor artykułu mówi o tym, co literaturą ludową nie jest, zamieścił coś, co przypomina tzw. „bryk” — wyciąg fabularny z mojej powieści. Nie wiem, co skłoniło Artura Sandauera do przemilczenia mojego nazwiska, z uwagi jednak na spodziewaną dyskusję wydaje mi się pożytecznym drobny ten szczegół ujawnić.

W poprzednim 40 (253) numerze „Odrodzenia”: Trzy głosy w walce o pokój: Kazimierz Ajdukiewicz; Wojciech Kętrzyński; Zofia Stasiak. — Walenty Katakew: Niekzemność lokajów Wall-Street. — Od Jana Tetli do Tadeusza Urcacza: Jan Tetla: 29 lat pod ziemią; Tomasz Rybok: Nie jestem królem, ale zwykłym górnikiem; Leopold Boroń: Przyjaciel i niebezpieczeństwo; Tadeusz Urcacz: Robotnice; Wolność jest dla wszystkich — wyciągnijcie po nią rękę. — K. I. Gałęziński: Warszawski wiatr. — Ksawery Pruszyński: Zrodzona we wrześniu. — Aleksander Puszkina (przełożył Julian Tuwim): Bajka o popie i jego parobku Jolopie. — Krzysztof Gruszczyński: Krótkie opowiadania. — Ewa Korzeniowska: Nieporozumienie. — Jerzy Broszkiewicz: Kształt miłości. — Aleksander Kuliewicz: Polska w dzisiejszej poezji czeskiej. — Film: Zbigniew Pitera: Obrachunki weneckie; Barbara Olśniewska: Praca przez pryzmat usmiechu. — Jury IV Międzynarodowego Konkursu im. Chopina. — Władysław Tomczyk: Królestwo z tego świata. — Janusz Świeży: Trochę prawdy o strojach ludowych. — Kramik bukinisty: (podał do druku) B. M. Długoszewski: Na krytyków; Różnica między psami; Do kaznodziej; Odpowiedź chłopca; Wzmianka o Judaszu; Nieprzyjaciel Żydów; Biskup i chłop; Na urzędnika bez zastęgi; Odpowiedź wiesniaka; Magnat. — Kronika teatralna: jk: Wodewil uspołeczniony. — Tydzień bibliograficzny. — Camera obscura. — 12 ilustracji. — 8 stron

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO - OSWIATOWA »CZYTELNIK«

NOWOŚCI

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Klub Odrodzenia

TADEUSZ BREZA

LATO W NOHANT

Komedia w 3 aktach

NIEBO I ZIEMIA

Tom I,

str. 87

zł 150

str. 321

K „O”

WITOLD WIRPSZA

Klub Odrodzenia

TADEUSZ BREZA

STOCZNIA

MURY JERYCHA

str. 47

zł 120

str. 334

K „O”

BOHDAN CZESZKO

Klub Dobrej Książki

HOWARD FAST

POCZĄTEK EDUKACJI

Opowiadania

BITWA POD VALLEY FORGE

Tłum. J. Keren

str. 134

zł 150

str. 263

K. D. K.

JOHANNES STEEL

Biblioteka w Prenumeracie

LANGSTON HUGHES

POLITYKA U. S. A. W OCZACH AMERYKANINA

WIELKIE MORZE

Tłum. J. Kydryński

Autobiografia

str. 46

zł 50

str. 281

zł 300

W. BIANKI

JOHN BOYTON PRIESTLEY

W LEŚNYCH DOMKACH

Tłum. W. Grodzienka

JASNY DZIEŃ

Tłum. M. Wisłowska

str. 87

zł 200

str. 432

zł 450

— Co tam? — pyta go książę biskup.

— Mogę, mogę — odpowiada mu po cichu bractwek. — Spróbowałem dopiero i udało się próba.

— Chodź, chodź — ciągnie go przed króla książę biskup

— No, książę Janie — wita go pan Szczesny — daruję ci do konwiku jeden półbeczek miodu, jeżeli go podniesiesz i na swoją bryczkę włożysz.

— Jeżeli Jaśnie Wielmożny Pan nie żartuje, to podniosę razem dwa i na bryczkę włożę.

— Co mówisz, książę, ciekawy jestem!

Książę Jan rozwinął poły swego habitu, przyklął przy dwóch półbeczkach, pochylał je na obie poły, objął rękami, ścisnął, wstał, poszedł z nimi do bryczki, położył i chciał sobie pojechać.

— Stój, stój, czekaj, książę Janie, obiad u mnie czeka na stole — zawołał Szczesny, zatrzymał księdza, który w Tulczynie kilka lat ciągiem bawił, jadł, pił i grał w karty i tam podobno umarł... Taki to był bohater; a ogromny, jak słoń, a pił jak dziurawa beczka...

Franciszek Kowalski. Wspomnienia. Kijów 1859, tom II, str. 204—270.

podał do druku
Wacław Zawadzki

Chopin na Wyspach Brytyjskich

Pierwszy raz wybierał się Chopin do Anglii w 1831 roku, lecz dopiero w 1837 projekt ten został zrealizowany. Zabrał go przyjaciela Pleyel i Koźmian, na krótko — od 11 do 22 lipca — wycieczkę, aby rozzerwać artystę, pogrążonego w depresji po zerwaniu zaręczyn z Marią Wodzińską. Nie występował z publicznymi koncertami, zagrał tylko w Broadwooda pod imieniem Fritza — incognito, które zdemaszkowano bardzo szybko. Mendelssohn pisał wówczas: „Podobno przed tygodniem przyjechał tu niespodziewanie Chopin, ale nie składał nigdzie wizyt. Zagrał świetnie u Broadwooda jeden raz, poczem uciekł znowu. Zdaje się, że jest bardzo chory”.

W 1848 roku, na rok przed śmiercią, Chopin po raz drugi przybył do Anglii, tym razem na dłuższą. Namówiła go do podróży uczennica i wielbielica, panna J. W. Stirling, inteligentna, bogata Szkotka, zamieszkała w Paryżu, której w 1844 roku dedykował dwa swoje nocturny. Panna Stirling i jej siostra pani Erskine wzięły na siebie kłopot wszelkich przygotowań z tak dobrym skutkiem, że gdy Chopin wprowadził się do apartamentów na Dover Street, cały Londyn mówił już o jego przyjeździe w dniu 20 kwietnia.

Na pewien czas zmiana powietrza i otoczenia wpłynęła korzystnie na stan zdrowia i dobry humor artysty. Wybrał się do teatru, w posuchach znakomitej śpiewaczki, Jenny Lind, ale Filharmonię skrytykował: „Orkiestra, tak jak ich rozbił albo zółtowiara zupa: mocna, tęga, ale nie więcej”.

Dat dwa koncerty, jeden u lorda Falmouth, drugi u pani Sartoris, które przyniosły mu łącznie blisko 300 gwinej. Grał również na wielu przyjęciach, m. i. u księżnej Sutherland, gdzie wśród zaproszonych gości znajdowała się królowa Wiktoria, księża Albert i stary Wellington. Za każdy z tych występów otrzymywał 25 gwinej. W związku z tym po powrocie do Paryża Chopin opowiadał taką historię: wkrótce po przyjeździe do Londynu spotkał w domu swoich przyjaciół pewną arystokratyczną damę, która poprosiła, by grał u niej na przyjęciu. Po czym wywiązała się następująca rozmowa, którą Chopin powtarzał, naśladując ze swoim nieporównanym darem imitacji kiegoś francuskiego damy: — He pan kosztuje, monsieur Chopin?

— Dwadzieścia pięć gwinej, madame.
— Oh, ale ja proszę o króciutki kawałek tylko! — pokazując na paluszkach.

— Cena pozostaje jednakowa.
— W takim razie, będzie mi pan grał dużo!
— Nawet przez dwie godziny, madame.

— Więcej postanowione. Ale... czy te dwadzieścia pięć gwinej płaci się zgóry?
— Nie, madame... po grze.
— Oh, to bardzo słusznie.

Chopin wychodził codziennie wieczorami, z rana dawał lekcje, zmuszony do zarobkowania, aby opłacić wysoki koszt mieszkania i życia w Londynie. Meczłwo go to i wyczerpywało, więc panna Stirling uplanowała wyjazd do Szkocji. Przez cały czas pobytu w Londynie

zawierał wciąż nowe znajomości i przyjaźnie. Krytyk J. W. Davison napisał o nim entuzjastyczny artykuł, uważany za jedną z najlepszych ocen muzyki genialnego artysty. Poznał Carlyle'a, lorda Bulwera, Dickensa, Waltera Scotta, Hogartha — ten ostatni był autorem przychylnego artykułu o Chopinie w „Daily News”. Spotkał również lady Byron, żonę poety i po rozmowie z nią przyznał, że mogła zaudzić męża na śmierć. Jego największym może wielbicielem w Anglii był Broadwood, właściciel słynnej fabryki fortepianów. Gdy Chopin pewnego ranka poskarżył mu się, że źle spał, po powrocie wieczorem do domu zastał zainstalowane w swoim łóżku nowe materace, doskonale elastyczne i pyszne pachowe poduszki.

W sierpniu Chopin wyjechał do Szkocji. Broadwood, najwierniejszy z wiernych, zarezerwował dlań dwa — dla większej wygody — miejsca w wagonie i dał mu miłego towarzysza podróży, niejakiego Wooda. W Szkocji przebywał kolejno w Keir i w Johnston Castle, siedzibach rodziny Stirlingów, w Calder House, gdzie przyjemnie spędził czas w interesującym towarzystwie starego lorda Terpichen i w wielu innych miejscowościach. Swoją opinię o muzykalności Szkotów wyraził następującymi słowami: „Jest tu obecnie około trzydziestu osób: wszystko oryginalne, arystokraty, bardzo bogaci, bardzo wykintni, bardzo mądzy i bardzo — głusi”. A o wycieczce spędzanej poobiedniej sjęsty w mekskim towarzystwie pisał: „Muszę przez dwie godziny z mężczyznami siedzieć i patrzeć, jak mówią i słuchają, jak piją”. Jednak pomimo dziwności i głuchoty polubił ich. „Pocziwe moje Szkoty! Nic zamyslić nie mogę, co by zaraz nie było: nawet gazety paryskie tutaj codziennie mi przynoszą. Cicho mi, spokojnie i dobrze”.

W końcu sierpnia grał w Manchester. Krytyk „Manchester Guardian” pisał o jego koncercie: „zarówno jego kompozycje jak i jego gra są ostatnim wyrazem doskonałości muzyki kameralnej”.

We wrześniu dał koncert w Glasgow. W październiku wrócił do Edynburga, stamtąd do Londynu, dokąd podążył za nim wkrótce jego skoczcy przyjaciele, aby przygotować powrót do Paryża. Lecz był już rozpaczliwie chory. Chociaż pani Erskine irtowała go swoimi nieustannymi wysiłkami — z Biblią w ręku! — nawrócenia go na protestantyzm, przebaczał jej narciarstwo i zgadzał się z poglądami, że tamten świat będzie lepszy niż ten, pisał tylko: „Jest dobra i religijna, lecz za bardzo troszczy się o moją duszę”.

W początkach 1849 roku powrócił do Paryża.

W czasie jego pobytu w Anglii, Chopina zagarnęła na wyłączny użytek arystokracja i bogata burżuazja. Nie spotkał się z nikim poza tą sferą, toteż nie dziwnego, że tak scharakteryzował Anglików: „Ci Anglicy wszystko tylko na funty szterlingi biorą, sztukę dlatego lubią, że to luksus; pocziwe serca, ale takie oryginalne, że rozumienie, jak można samemu tutaj zeszytnieć, albo się w maszynie zamienić”.

Georges Chand Bidwell

WOJCIECH NATANSON

„Głupi Jakób” czyli poszlaki

W procesach kryminalnych brak czasem niezbitego i oczywistego dowodu przeciw sprawcy. Wówczas stosuje się tzw. „postępowanie poszlakowe”. Operuje ono najczęściej pytaniem: „kto był zainteresowany w popełnieniu zbrodni? Komu mogło na niej zależeć? Dlatego właśnie, zbrodnia bez motywu, którą wyobraził sobie Gide w „Lochach Watykanu” niemal unicmożliwia wyszukanie sprawcy. Lecz poszlaki bywają w wielu wypadkach złudne i zawodne. Powodują one dużą ilość omyłek sądowych, które filozofom i prawnikom humanitarnym każą stosować zasadę — że lepiej, w razie niepewności, uwolnić ewentualnego sprawcę, niż skazać niewinnego.

Również i niektórzy krytycy literaccy stosują „metodę poszlakową”. Rozumują sylizdami, nie bardzo je sprawdzając przez zestawienie z faktami i nie bardzo się troszcząc o prawdziwość wnioskowania.

Przykładem o ofiarę „poszlakowej” metody krytycznej jest jeden z najświetniejszych naszych dramatów Tadeusza Rittnera. Mieszkając dłuższy czas w Wiedniu, pisywał równocześnie w kilku językach; wynioskowano stad — najzupełniej dowolnie, właśnie przy pomocy owych nieszczyśnych „poszlak” literackich — że Rittner był pisarzem „kosmopolitycznym”, nie związanym ze środowiskiem polskim, a nawet z epoką, w której tworzył. „Życie Rittnera — pisał w r. 1924 jeden z najwybitniejszych krytyków ówczesnych — upłynęło w Wiedniu i coś z usposobienia, z atmosfery, z zainteresowań, musiło przetrwać do jego umysłowości. Rybiory przesadą twierdzić, że dzieła jego, jego święte komedie i nowele, są zjawiskiem rasowo polskim, takim są utwory Bliznińskiego, Sienkiewicza, Reymonta. Już jego tematy są zaczerpnięte z rezerwuaru kosmopolitycznego”. Ten sam krytyk dowodził, że komedie Rittnera „nie są związane z epoką, w której powstały, żadną aktualnością, żadną modą”. Co dziwniejsze, komentator wyróżnił wśród utworów Rittnera dwie grupy: „Po jednej stronie utwory takie, jak „Don Juan” lub „Ogród młodości”, które powstały z przemyślenia, z teorematu, które jakieś zagadnienie mają udowodnić cyrami i znakami pozycji. Po drugiej stronie „W małym domku”, „Głupi Jakób”, „Wilki w nocy”, „Człowiek z budki suflera”, „Lato”, i grażski krające koło bezinteresownej osi komediowej. Tu nie ma z problematu, wszystko jest opowieścią o tym, jak dziwny jest ten świat, w którym ludzie się miotają na to, by umrzeć i przestać się miotać”. A więc, według tego pisarza „Głupi Jakób” jest utworem wypranym nie tylko z kolorytu lokalnego i historycznego, lecz i z wszelkiej problematyki. Po prostu bajka! Natomiast Boy, pisząc o „Jakobie” pięć lat wcześniej (w 1914 r.) dostęczał pewne zagadnienia — ale dość ogólnikowe:

sprawę „syna marnotrawnego”, problem prawdy...

Być może, że tytuł utworu kierujący uwagę przede wszystkim na Jakóba i jego bezkompromisową „głupotę”, myli perspektywę. Otóż, nie Jakób jest głównym bohaterem komedii — ale Szambelan. Dostrzeżemy wówczas nie tylko problematykę komedii mocno osadzonej w rzeczywistości, ale i jej sens historyczny, środowiskowy, społeczny. Ludzie teatru, którzy od dawna czynili postać Szambelana centralną figurą inscenizacji, okazali w tym wypadku instynkt o wiele trafniejszy, niż komentatorzy i recenzenci. Kim jest Szambelan? Warto sobie przypomnieć, że tytuł ten pojawił się w Polsce po raz pierwszy na dworze Stanisława Augusta, w wieku XVIII. O tych stanisławowskich szambelanach myślał nie tylko Niemcewicz w „Powrocie postą”, ale zapewne jeszcze i Fredro w „Ciotuni”. Ale już za czasów Fredry zaczęli się zjawiać także — szambelanowie austriaccy. „Szlachcice polskiej” rzucił pan nowy (tj. cesarz habsburski) szychowe grabstwa, baronstwa, szambelanstwa i owe dygnitarские korony Galicji, korony Lodomerii” pisał Fredro w swych wspomnieniach po roku 1831. Akcja „Chłupiego Jakóba” rozgrywa się w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Szambelan ma lat 50 (według wrażeń wskazówki autorskiej). Wszystko się zatem zgadza: ojciec rittnerowskiego szambelana Karola, bogaty i rozrzutny, kupił dla siebie i w tomków ten tytuł, który monarchia habsburska sprzedawała według określonej taryfy szlachcie mogącej się wykazać odpowiednią ilością antenatów (a według taryfy podwyższonej — nawet i bez tego dowodu).

Tak umiejscowiony historycznie Szambelan ukazuje nam od razu pełnię i przejrzystość swego losu. Od dzieciństwa wnanio mu poczucie wielkości rodowej, za którą ojciec zapłacił nie tylko takszą rządową ale i koniecznością prowadzenia życia trybem wielkopanńskim, hulaczkim. Wychowanie i ambicja złożyły się na to, że egzystencja szambelana nie była przylegna ani łatwa. Pragnąc za wszelką cenę odzyskać pozycję majątkową, nie bawił się, nie pił, nie żenił nawet, zadowolili jedna — niezbyt olśniewająca — przygoda miłosna. W wieku dojrzałym jest panem i władcą swego małego światka, tyranem wiejskiego dworku, w którym życie jest tak ciasne i duszne, jak w miasteczku, gdzie rozgrywa się akcja innej sztuki Rittnera: „W małym domku”. Pod wpływem takiego życia, szambelan Karol rozwija w sobie instynkt specyficznego domowego sadyzmu. Nikt nie umie tak jak on zadreżać zdanych na jego łaskę i niełaskę pary rezydentów — siostry i szwagra — oraz bezradnego w swej naiwności Jakóba.

Szambelan jest jednak nie tylko świetnie przez Rittnera rozwiązany zagadnieniem psychologicznym; jest dzieckiem swej epoki,

swego środowiska, swego czasu. Pieniądże stanowią decydujący czynnik jego życia. Dlaczego tak gardzi siostrą i jej mężem? Bo nie posiadają żadnej pozycji majątkowej, choć są „dobrze urodzeni”. Nawet miłość Szambelana, głęboka i szczerza namiętność wypalająca jego życie, zginająca mu kark pod jarzmo okrutnej i chciwej dziewczyny — nawet ta miłość w pojedynkach osobliwego amanta staje się rodzajem handlu. „Jakie są pani warunki?” — pyta Szambelan panny Hani, tuż po namiętnym wyznaniu miłosnym. I tylko dla zachowania pozorów, poprawia się eufemistycznie. „To jest... jakie są Pani życzenia?” Tak nie mogłoby na pewno przemawiać szambelan z fredrowskiej „Ciotuni”, gdy się oświadczał dwudziestoletniej kobiecie. Proces komercjalizacji wsi, którego pierwsze objawy pokazywał Blizniński w „Rozbitkach”, osiągnął tu stadia dalsze.

Albo też, owi — wspomniany już — rezydenci: siostra Szambelana Marta i jej małżonek, Teofil. Czyż nie są mocno osadzeni w historii? Marta ze swym snobizmem parafianko - zagranicznym, z manią przyzwidziewania strojów „weneckich”, cierpiętnictwem i pretensjami, grą w domino i przesadami obyczajowymi — czyż nie jest typowym produktem ówczesnej Galicji? Ów nawet drobny szczegół, że Szambelan wymięwa zagraniczny rzekomo ubiór swej siostry, świadczy jak niesłuszne są sady o „niehistorycznym” i „kosmopolitycznym” sensie utworu. Samo zresztą zjawisko „rezydentów” tak polskie, ziemiańskie - szlacheckie, nabiera tu już odcienia historycznego — jeśli się weźmie warunki życia tej pary!

Powtórmy raz jeszcze: wieś tutaj pokazana ma wszelkie charakterystyczne cechy swej epoki i swego kraju. Nawet ów Jakób, w którym krytyka dostrzega jedynie metafizyczny „głód prawdy” — czyż nie jest przede wszystkim zjawiskiem społecznym? Jest zdolny, ambitny, pracowity, prostolinijny i twardy, odważny nie tylko w pojedynku, ale i w pogmatwanych przez najbliższe otoczenie stosunkach rodzinnych, entuzjastycznie interesuje się maszynami rolniczymi — wszystko to tchnie rzeczywistością, prawdopodobieństwem, konkretnością, oczywistością. Takimi młodzieńcami, rwącymi się z zagród chłopskich do oświaty i studiów zaludniała się coraz silniej ówczesna Galicja.

Wspomniałem już, że aktorzy

nasi trafniej niż krytycy wyczuwali sens rittnerowskiej komedii. Złwłaszcza aktorky sceny krakowskiej, gdzie odbyła się prapremiera w roku 1910 i gdzie stałe wznawiano utwór. Od czasu słynnej kreacji Józefa Sosnowskiego główną uwagę zwrócono na rolę Szambelana. Nie wiem, czy pod wpływem tych tradycji, czy wskutek przemyslenia zawartych w „Jakobie” problemów. Szambelan wysuwa się na plan pierwszy także i na obecnym przedstawieniu krakowskim. Miał on już dwóch realizatorów: Wł. Ziemińskiego oraz Józefa Karbowskiego; obecnie ma podobno przybyć trzeci. Ziemiński stworzył postać dość złożoną, w której na plan pierwszy wysuwa się degeneracja Szambelana, jego wewnętrzny niepokój i niepewność, tak iż w pewnych momentach zaczyna się on i iaka. Karbowski był prostszy, bardziej wybuchowy i gwałtowny; nie wahał się podnieść głosu, uderzać pięścią w stół, wykonywać gestów prostackich. Przyznam, że ta druga interpretacja wydaje mi się w pełni uzasadniona i może nawet bardziej sugestywna. Reszta postaci na krakowskiej scenie zyskała dobrzych na ogół wykonawców. Wspaniała jest para. Marta — Teofil, która graja Maria Gella i Stanisław Jaworski, łącząc pogłębienie psychologiczne z precyzją znakomicie skonstruowanego gestu. Gdy Gella wypowiada swe monotonne i beznadnie zale, wybijając ich takt palcami, gdy Jaworski gwiżdże sobie dla nabrania kurażu, gdy robi papierosy lub zastręga, że „nie ma w tym cienia urazy” — nie są to sztuczki wyrafinowanego kunsztu aktorskiego, lecz znakomicie pomyślane środki jasnego, plastycznego i wyrazistego zarysowania postaci.

Jakobem bardzo nierealnym i zupełnie nieautentycznym, jest bardzo zdolny młody aktor: Bartosik. Dwa znaczną rolę przebiegłego doktora gra bezbłędnie Macherski, kontrastowa wobec Szambelana (i ważną z punktu widzenia kolorytu lokalnego) postać Prezesa trafnie ujął Jabłoński. Mam tylko pewne wątpliwości co do Hani: Matusiakówna odbarzyła ją zwłaszcza w akcie ostatnim zbytnią dozą patosu, podczas gdy trzeba by tutaj podkreślić przede wszystkim wyczerpanie, spryt, wrodzoną inteligencję i przenikliwość, a nawet pewne okrucieństwo.

Reżyserował starannie Wł. Ziemiński; dekoracje projektował prof. A. Pronaszko.

Wojciech Natanson

BIADA ROZUMOWI

(Dokończenie ze strony drugiej)

Niech sobie czym chce będzie, nie wiem jak zasłynie,
Lecz, wybaczn, nie w rodzinie.
Toć, jeśli gdzie, to tutaj jeszcze się szlachtę cenil!
Alboż to jedno tylko? A gościnność nasza?
Czy gościa zapraszamy, czy sam się zaprasza,
Witaj! barzośmy radzi! — a wtedy najwięcej,
Gdy gość jest cudzoziemcem.
Uczciwy, nie uczciwy, a kóżby to badał?
Dla wszystkich drzwi otwarte, siadaj i zajądaj!
Weź u nas byle kogo, a znać będzie na nim,
Ze on Moskwanin.
Na młodzież naszą spojrz, na świętek synków, wnucząt.
Zrzedzimy wciąż, ganimy nasze dziatki,
Ale im się przysłuchaj: te piętnastolatki
Nauczylieli swych nauce.
A starzy! Niech no zaczną, z przejęciem głębokim,
Opiniować i sądzić — to same wyroki!
Sama rodowa szlachta, więc im furda wszystko.
Czasem — nawet o rzadzie takie słówko wisną,
Ze gdyby podsiłuchała wada...
Nie, żeby kto nowości jakiego zaprowadzał,
Broń Boże! ani na myśl nie przyjdzie nikomu,
Lecz zaczną się przeczepiać do tego, owego,
Najczęściej — do niczego,
Pokłóć się, pokrząć i pójść do domu.
Każdy z nich — kanclerz na emeryturze,
Taka to głowa!
Zobaczysz: czas dojrzeje — wypłyną niektórzy,
Nie obejdzie się bez nich. Wspomnisz moje słowa.
A damy! Spróbuj pisać. Wszystkich sądzą wszędzie.
Najwyższe trybunały, a same bez sądzi.
Przy kartach, gdy się zmówią, zbuntują, zawzięte,
Bóg niechże ześle ciepłiwość — sam byłem żonaty...
Kaź im komenderować całym regimentem!
Rzadzić senatam!
Irina Własjewa! Łukierja Aljeksjewa!
Tatjana Jürjewa! Pulchierja Andrijewa!
A kto córeczki zna — zachłyca się, i nie dziw.
Gdy najjaśniejszy pan, król pruski, nas odwiedził,
Słów nie miał dla moskiewskich panien,
Nie twarze ich podziwiał, ale wychowanie.
Bo lepszej edukacji nie znajdziesz, doprawdy.
A jaki gust: te tiule, aksamity, tafty...
Zwyczajnie żadne jej się słówko nie wyszłygnie:
Co powie, to się umignie.
Romanse francuskiego rodu
Głoskiem wyśpiewują słodkim,
A do wojskowych, jak do miodu:
Bo patryotki.
Nie! choćby zjeździł świat jak długi,
Nie znajdziesz takiej Moskwy drugiej!

SKAŁOZUB
Pożar, uważam, bez wątpienia,
Przyczynił się wydatnie do jej wypięknienia.

FAMUSOW
Już lepiej nie wspominać. Małoż się w tym grzebią...
Od tego czasu nowe domy, trotuary...

CZACKIJ
Tak, domy nowe, lecz przesydane stare.
Niech się pan cieszy; bo ich nie wytrzebią
Ni czas, ni mody, ni pożary.

FAMUSOW
(do Czackiego)
Ej, zawiąż dla pamięci supełek! Prosiłem,
Żebyś się nie odzywał. Nie wielki wysiłek.
(do Skalozuba)
Pozwolisz, dobrodziejku... właśnie, syn Czackiego,
Andrieja Iljicza,
Świętej pamięci przyjaciela wado.
Nie urzęduje dotąd... Nie widzi potrzeby
A szkoda — głowa!
Mógłby się, sądzić, przyciąć, gdyby popracował,
Dobrze pisze, tłumaczy... Szkada, mówię, żeby...

CZACKIJ
Może kogoś innego by pan pożalował!
Nawet pochwały pańskie przykrość mi wyrządzą.

FAMUSOW
Nie tylko ja, tak wszystkie sądzą,
I każdy powie wszędzie...

CZACKIJ
A kóż ci sędzie?
Zgrzybiał, źli, o wolnym życiu myśl
Nieprzejednanym nienawidzą sercem.
Poglądy czerpią z gazet, zapomnianych dziś,
Z dni, gdyśmy brali Krym i oczakowską twierdzę.
Zawsze gotowi sierzdzić się i zrzedzić,
Wszystko ich gorszy,
Ale po sobie nie chcą stwierdzić,
Ze im starsze co, tym gorsze.
Gdzie są, pokażcie nam, ojcowie tej ojczyzny,
Z których nam przykład brać należy?
Czy ci, co zbrogaceni na grabieży
Familiją się przed sądem zasłonił sławną
I uczują, puszczając fortunę bezprawną
W pałacu, jeszcze świeżym,
Gdzie nie domyślą się klienci z zagranicy,
Ze to minionych lat najhaniebniejsi gus!

A zresztą, komu tu nie zamykały ust
Obiady, tańce, wieczornice?
Może ten, do którego od najmłodszych lat
Craliście mnie dla jakichś planów i planików,
Żebym pokłony przed nim kładł,
Ów Nestor możnych nikczemników?
Tłum służył miał, i nieraz im,
Gdy pił, gdy bił się, lub grał w karty,
Zawdzięczał życie, honor... Wtem
Wymienił ich na trzy myśliwskie charty!!!
A może pomylny dworak,
Co na swój balet pańszczyźniany zwiózł
Wydarte matkom dzieci, w mroź,
Na kilku furach.
Sam wiecznie myślą tkwiąc w Zefirach i Amorach,
Całą Moskwę uraczył owym widowiskiem,
Lecz kiedy przed obliczem wierzycieli stanął,
Amory i Zefiry wszystkie
Na sztuki rozsprzedano.
Oto ci, którym głowy szronem pokrył czas,
Oto kogo szanować mamy na pustkowiach,
Oto surowi sędze, zawsze w pogotowiu!
A teraz — niechże jeden z nas,
Z nas, młodych, co gardzimy pochlebstwem niegodnym,
Nie pragnąc rang, orderów, gwiazd,
W treść nauk wglębi się umysłem, wiedzy głodnym,
Lub niechby sprawił bóg — sam bóg! — by w nim
Irogorzał

Natchnienia tworczy żar, wysoki i słoneczny,
Sędziowie w krzyk: Rabunek! Pożar!
Za nimi inni: Bunt! Chimeryk! Niebezpieczny!
Nic, tylko mundur! Mundur! On, wzorzysty, pstry,
Gdy jeszcze młodzi byli, krył ich duszę pustą,
Rozsądku marności i ubóstwo!
W szczęśliwą drogę wiec za nimi w ślad i my!
I żony, córki! mundur! Cóż reszta znaczy przy nim?
A mnie... czy dawno przestał rozczulać ten strój?
Dziś tylko śmiejesz mnie naiwny zachwył mój,
Lecz wtedy — kóżby z nas nie poszedł za wszystkimi?
Gdy szarżę z gwardii lub ze świty
Na krótko tutaj przyjeżdżały,
Hurra! krzyczały im kobiety
I czepki w górę podrzucały!

FAMUSOW
(n. s.)
Och, czuję, będę miał z nim bidę...
(głośno)
Sjergiej Sjergieicz, wybaczn, idę
I będę czekał w gabinecie,
(wychodzi).

Aleksander Gribojedow
przełożył Julian Tuwim

Wobec zaspokojenia wszystkich dotychczasowych subskrybentów

I SERII

NARODOWEGO WYDANIA DZIEŁ ADAMA MICKIEWICZA

oraz

napływu licznych dodatkowych zgłoszeń

Spółdzielnia Wydawnicza - Oświatowa „CZYTELNIK”, chcąc w 150-tą rocznicę urodzin P.ety uospełnić najszerzym kregom ludzi pracy całość twórczości poetyckiej Wieszcza, otwiera dodatkową przedpłatę na I serię Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza na czas od 1.10. do 15.11.1949 r.

Objętość I serii 4 tomy — 1.700 s ron. Tekst krytyczny opracował Komitet Redakcyjny pod przewodnictwem Leona Płoszewskiego.

Wydane na papierze bezdrzewnym — okładka półsztywna. Każdy, kto chce skorzystać jeszcze z dogodnych warunków przedpłaty, wysłał pod adresem Administracji Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza poniższe zamówienie e.

W sprzedaży księgarskiej cena I serii będzie znacznie wyższa. Książki wysłał Administracja niezwłocznie po otrzymaniu wpłaty.

Prosimy wypełnić czytelnie

ZAMÓWIENIE

Niniejszym zamawiam w przedpłacie pierwszą serię (4 tomy) Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza. Należność w sumie 800 zł wpłacam równocześnie na konto PKO Nr 1-7474 (brzmienie konta: Spółdzielnia Wydawnicza-Oświatowa „CZYTELNIK”. Subskrypcja Narodowego Wydania dzieł A. Mickiewicza Warszawa).

Nazwisko _____ Miejscowość (poczta) _____

Imię _____ ulica, nr. domu _____

_____ podpis _____

Wyciąć albo przepisać i przelać pod adresem: Administracja Narodowego Wydania Dzieł A. Mickiewicza, Warszawa, ul. Wiejska 16, II p.

SZTUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ALEKSANDER PUSZKIN

przełożyła WANDA GRUDZIENSKA

Bajka o umarłej carewnie i o siedmiu bohaterach

Fragment

Car z carową się rozstaje
I w dalekie rusza kraje,
A carowa w oknie czeka,
Kiedy wróci mąż z daleka,
Czeka z rana aż do nocy,
Patrzy w pole, nieraz oczy
Już zmęczenie i ból mroczy,
Gdy tak patrzy aż do nocy,
Nie wiadac mięgo drucha:
Tylko huczy zawierucha,
Śnieg przewala się tumanem,
Pola w koło zasypane.
Już mijają trzy kwartały,
Ona czeka przez czas cały.
A w wigilie, w noc grudniową
Córka darzy Bóg carową.
Wczesnym rankiem gość kochany
Dzień i noc wyczekiwany,
Spoza rzek i spozą gór
Wraca ojciec-car na dwór.
Raz na niego popatrzyła,
Już odetchnąć nie zdążyła,
Już nie zniosła tylu wzruszeń,
I przed mszą oddała duszę.

Car rok przeżył wśród żalości,
Lecz i on miał swe słabości;
Rok przeminął jak sen długi,
Car ślub bierze po raz drugi
Prawdę mówiąc, żona nowa
Wyglądała jak carowa:
Smukła, zgrabna, jak śnieg biała

A. P. BABUSZKINA

Źródła rosyjskiej literatury dla dzieci

(Wyjątki z książki: „Historia rosyjskiej literatury dla dzieci“)

Cale życie dziecka jest nierozdzielnie związane z narodową poezją. Rodzime pieśni dźwięczą nad jego kołyską, towarzyszą jego zabawom, wpływają na tworzenie się pierwszych pojęć. Nianki i matki, twórczy pieśni dla dzieci były nierazdo znakomitymi pedagogami. Lud stworzył pogaduszki, pogwarki, bajki, przekręcanie, wylizanki. W poezji ludowej znajdziemy też swoiste dziecięce zaklęcia, stanowiące ozdobe, obrzędowość dzieciennych zabaw:

Dla dzieci powstały anegdoty, liryczne piosenki, pieśni, bajki. Lud dokonał także pedagogicznego odkrycia, stwarzając przekręcanie, które stały się dla dziecka sprawdzianem jego umysłowej sprawności, pełniąc słuchając przekręcanie stwierdza ono z radością, iż potrafi z popłatanych części zbudować prawidłową całość.

Lud ogarnął poezją cale życie dziecka, wszystkie jego zainteresowania, wszystkie prace. Z czasem pieśni z ustnej tradycji przeszła do książkowej literatury.

W początkach XIX wieku pieśń ludowa stała się ośrodkiem zainteresowania pisarzy rosyjskich. W okresie swej dojrzałości rosyjska poezja uznawała poezję ludową za żywe źródło dla siebie. Poeci przyswajają sobie poetykę pieśni ludowej, jej motywy, jej atmosferę.

Od poetów dekabrystów poczynając, cale rosyjska literatura jest przepojona twórczością ludową. Rylejew, Bestuzew, Poleżajew tworzą propagandowe pieśni oparte na motywach ludowych. Od ludu uczyli się pisać: Żukowski, Puszkina, Jerszow, Kolcow, Niekrasow, Lew Tołstoj, Gorkij...

W pedagogice wielokrotnie wybuchaly spory o znaczenie bajki w literaturze dla dzieci. Sumarokowa obrzala fakt, że nauczanie dzieci nie może się obejść bez „Bowy i Piotra — Złoty Kluczy”. Pisarz dla dzieci Kurganow (z XVIII w.) przeciwnie związał z folklorem najwzniejszą lekturę dziecka. Bieliński uzbrojony w potęgę wiedzy teoretycznej — nazwał bajkę najlepszym środkiem wychowawczym. W latach 50 — 60 XIX wieku pedagog Toll zaatakował bajkę za jej „antypedagogiczność”. Wtedy stanął w jej obronie Turgieniew. W latach 70 — 80 XIX wieku spór rozgorzał z nową silą.

Przeciwnicy bajki wysuwali zazwyczaj te same argumenty: bajki są szkodliwe, ponieważ „hamują rozwój umysłowy dziecka”, „przerażają dzieci, ukazując rzeczy straszne i oslabiają wole dziecka...”, „bajka rozwija niskie instynkty...”. Te zdania były powtarzane w ciągu dziesięcioleci i przekazywane z pokolenia w pokolenie. Po Wielkiej Rewolucji Październikowej te same argumenty wysunęli nawet pedagogowie „lewicy”.

Zaslanając się głośnymi frazami zwałczali oni bajkę, twierząc, iż wprowadzenie dzieci w świat fantazji rzekomo mać ich doświadczenia i pojęcia o rzeczywistości oraz wywołuje zycziwość dla carewiczów i królowien, a wreszcie ukazując rzeczy straszne, bajka wpływa ujemnie na wrażliwą psychikę dziecka. Tacy pedagogowie oczyszczali dziecięce biblioteki z bajek ludowych i witali nastawionymi bagnetami każde nowe ich wydanie. Wreszcie Gorkij musiał wystąpić w obronie bajki, dając wyczerpujące wyjaśnienie jej wychowawczej roli i znaczenia, nie tylko dla literatury dla dzieci, ale i dla całej literatury pięknej.

Jest rzeczą ciekawą że carscy cenzorzy ujmowali treść bajek w sposób znacznie głębszy niż wielu liberalnych pedagogów z końca XIX i początku XX wieku, gdyż zrozumieli nastawienie bajek ludowych, ich ukryty sens, ich „oburzające idee”.

Pomimo wszystkich zresztą zakusów życie zawsze obalalo argumentację wymierzoną przeciwko twórczości ludowej. Dzieci czytały bajki, wychowywały się na nich i żadne wysiłki nie mogły oderwać ich od źródła narodowej mądrości.

Genialny bajkarz — lud, jak gdyby naumyślnie stosuje się do prymitywnego sposobu myślenia dziecka, szkicuje obrazy życia śmiałyimi pociągająciami na szerokim tle społecznym, wyodrębniając i wysuwając na plan pierwszy tylko to, co najważniejsze, zasadnicze, decydujące. Bajka przygotowuje psychikę dziecka do trudności, jakie je mogą spotkać w życiu, hartuje jego charakter. Poucza dziecko, aby nie odwracało się od cierpień ludzkich, rozwija w nim uczucia humanitarne.

Charakterystyczną cechą bajki jest jej zwięzłość, pomimo to obraz stonków społecznych oraz rodzinnych występuje w niej bardzo plastycznie. Równie wyraźnie zarysowane są także i charaktery postaci. Bajka nie interesuje się nigdy psychologicznymi powikłaniami bohaterów. Postaci są uosobieniem pewnych cech: rozumu, chytryści, głupoty, naiwności itd. Bajka uczy dziecka oceny najważniejszych zalec człowieka szacunku dla rozumu, uczciwości i wierności, a jednocześnie — pogardy dla głupoty, tchórzostwa, wiarołomstwa itd. Moral wynika z treści bajki i pozostaje na zawsze w sercu dziecka. Na tym polega jej potęga. Bajka uczy, że skomplikowanych zagadnień życiowych wyodrębniać to, co najważniejsze i pomaga dziecku zorientować się w życiu. Poprzez świat bliski, poprzez osoby działające, które budzą w nim silne zainteresowanie, lud wprowadza dzieci w świat wielki i skomplikowany. Dlatego też bajka nie

I dowcipem ujmowała,
Ale za to dumna, mściwa
I zazdrosna i zdradliwa.
A w posagu jej przypadło
Osobliwe dość zwierciadło,
Co właściwość pewną miało:
Ludzkim głosem przemawiało.
Z nim jedynie była zgodna,
Dobrodusza i łagodna,
Z nim życzliwie żartowała,
Przed nim pyszniąc się, pytała:
— Lustro mile, proszę, powiedz,
Niech się szczerej prawdy dowiem:
Czy na świecie jest wdzięczniejsza,
Bielsza niżli ja, piękniejsza?
Lustro mówi jej niezmiennie:
— Na cóż sprzeczać się daremnie:

Tyś, carowo, najwzniejsza,
Tyś najbielsza, najpiękniejsza.
I carowa z uśmieszkami
Nuże wzruszać ramionami,
Nuże strzelać w krąg oczami,
Pobrzękiwać pierścionkami,
Nuże wzięwszy się pod bok
Dumny w lustrze topić wzrok.
Lecz carewna rosła mała
I cichaczem rozkwitała:
Przemięzło kilka lat
I zakwitła niby kwiat.
Białe liczko, czarne oczy,
Pełna wdzięku i dobroci.

BORYS ŻITKOW

przełożyli N. K. I. GAŁCZYŃSCY

KUBECZEK POD SOSENKĄ



Chłopiec wziął siatkę — pleciana podrywkę — i poszedł nad jezioro na ryby.

Pierwszą rybkę złowił niebieską. Niebieską, błyszczącą, z czerwonymi piórkami, z okrągłymi oczkami. Oczki — jak guziczki. A ogonek rybkę — jak z jedwabiu: niebiesciutki, cienutki, ze złotymi włoskami.

Chłopiec wziął kubeczek, mały kubeczek z cienutkiego szkła. Zaczepnął kubeczkiem wody z jeziora — niech rybka popływa sobie tymczasem.

Postawił kubeczek pod sosenką i poszedł dalej.

I złowił jeszcze jedną rybkę. Dużą jak palec. Ta rybka była czerwona, o białych piórkach, miała wąski, na bokach — ciemne kreseczki, a na grzbiecieniu — plamkę jak czarne cko.

Rybka się złości, wiję się, wyrzywa, więc chłopiec czym prędzej buch ją! — do kubeczka. Pobiegł dalej i złapał jeszcze jedną rybkę — całkiem malutką. Ta była nie większa od komara, ledwo widoczna. Chłopiec wziął ją ostrożnie za ogonek i wrzucił do kubeczka — prawie nie było jej widać. Znow pobiegł dalej.

— Poczekajcie — myśli chłopiec — teraz złapię dużego karasia.

A opodal, w sitowiu, mieszkala kaczka z kaczętami. Kaczęta wyrosły duże, pora im latać.

Mama kaczka mówi do nich: — Kto z was pierwszy złowi rybkę, ten będzie prawdziwym zuch. Tylko nie wolno zjadać bez pytania; ryby bywają klujące, na przykład jaszczar. Przynieście do mnie, po kaźcie, a ja sama powiem, jaką rybę można zjeść.

Kaczęta popruneły, popłynęły w różne strony. A jeden kaczorek po-

plłynął najdalej. Wyszedł na brzeg, otrząsnął się z wody i poszedł dalej, kolysząc się z boku na bok. A nuż znajdzie na brzegu rybkę? I patrzy: pod sosenką stoi kubeczek. W kubeczku — woda. „Zajrzę sobie do środka”.

Rybki miotają się w wodzie, pluskają się, uciekają, ale nie ma dokąd — wszędzie szkło.

Kaczorek podszedł, spojrzal: Ach, jakie rybki! Wziął największą. I przedją do mamy.

— Ja pierwszy. Pierwszy złowilem rybkę. To ja jestem zuch.

Rybka jest czerwona, o białych piórkach, ma wąski, na bokach — ciemne kreseczki, a na grzbiecieniu — plamkę jak czarne oko.

Kaczorek zamachał skrzydełkami i popłynął nad brzegiem — wprost do mamy.

Chłopiec patrzy — co to?: leci kaczka. Leci nisko nad głową i trzymając w dziobie rybkę, czerwona rybkę, długą jak palec.

— To jest moja rybka! Zaraz mi oddaj, ty kaczko złodziejko!

Zaczął machać rękami, tak krzyczeć, że wypłoszył wszystkie ryby.

Kaczorek się przestraszył i zakwakał: „Kwa — kwa!”.

Zakwakał i upuścił rybkę.

A rybka dała nura w głębokie jezioro i uciekla do domu.

— Jak teraz, z pustym dziobem, wrócę do mamy? — pomyślał kaczorek, zawrócił i poleciał pod sosenkę.

Patrzy: pod sosenką stoi kubeczek. Mały kubeczek, w kubeczku woda, a w wodzie — rybki.

Kaczorek podbiegł przedziutko i znow porwał rybkę. Rybkę niebieską ze złotym ogonkiem. Niebieską, błyszczącą, z czerwonymi piórkami, z

okrągłymi oczami. Oczy — jak guziki. A ogonek rybkę — jak z jedwabiu: niebiesciutki, cienutki, ze złotymi włoskami.

Kaczorek podfrunął w górę i znow do mamy.

— No, teraz nie krzyknę, nie roz-tworzę dzioba. Dostyć już byłem gą-pą.

A otóż i mama. Już całkiem bli-ziutko. Mama woła:

— Kwa, co ty tam niesiesz?

— Kwa, nosię rybkę, niebieską, złotą do wody! Rybkę ze szklanego kubeczka pod sosenką.

I znow oczywiście kaczorek roz-tworzył dziób, a rybka tymczasem — plusk do wody! Niebieska rybka ze złotym ogonkiem. Zakręciła się, zawirowała i poszła, poszła, poszła w głąb.

Kaczorek znow zawrócił, przyleciał pod sosnę, popatrzał do kubeczka, a w kubeczku została tylko jed-na rybka — mała, malusienka, nie-większa niż komar, ledwo widoczna.

Kaczorek dziobnął wodę i z całej siły popłynął z powrotem do domu.

— No więc, gdzie masz rybkę? — zapytała kaczka. — Nic nie widzę.

A kaczorek milczy i nie otwiera dzioba. Myśli sobie:

— Jestem sprytny! Ach, jaki sprytny! Sprytniejszy od wszyst-kich. Nie powiem nic, bo jak otwo-rzę dziób, to znow wypuszczę rybkę.

Wypuściłem przecież dwa razy.

A rybka w kaczym dziobie kołacze się jak cienutki komar, już wlaży do gardła. Kaczorek się przestraszył: „Oj, zaraz poiknę! Oj, już poiknę!”

Przyleciały inne kaczorki. Wszystkie mają rybki. Podpłynęły do mamy, wyciągnęły dzioby. A ona krzyczy:

— A teraz ty pokaż, coś przyniosł!

Kaczorek rozwinął dziób, ale tam już nie było rybki.

Wyjątek z książki „Co się nie-gdyś zdarzało”, którą wyda „Czy-telnik”.



S. MARSZAK

przełożył JANUSZ MINKIEWICZ

WOJNA Z DNIEMPREM

Rzekł do Dniepru człowiek: — A no,
Zamknę ciebie, Dnieprze, ścianą.

Będziesz
Służył
Sprawom
Naszym,
Będziesz
Siłą
Naszych
Maszyn.

— Nie! — zawył Dniepru wody —
Za nic! Nigdy! Nie ma zgody!
Wówczas człowiek tak odeprze:
— A więc
Wojna!

Wojna.
Dnieprze!

Oto
Rusza
W marsz
Bojowy,
Dźwig
Dwudziestodwutonowy.
Wyciągnięta
Dłoń
Olbrzyma.
Czarny
Młot
Na haku
Trzyma.

Za nim
Lżejszy —
(Dziesięć ton)
Świder
Z firmy
„Sanderson”,
Chwiejąc się
To w przód
To w tył,
Ostrą
Włócznię
W granit
Wbił.

Gdzie pluskały wczoraj ryby,
Tam dziś maszyn trzeszczą tryby.
Gdzie pływały wczoraj kaczki,
Tam dziś dymią parostatki.

Gdzie kwiat wodny wczoraj pływał,
Tam dynamit głąb rozrywa.

Tam, nad Dnieprem sygnał płonie
Mówi brzeg po lewej stronie:

Nadszedł transport tu betonu
W liczbie trzystu trzech wagonów.
Dziś — kubicznych metrów ziemi —
Tysiąc dwieście — wywieziemy.

Teraz
Odpowiedzcie nam:
Jak robota
Idzie wam?

Znow nad Dnieprem sygnał płonie —
Mówi brzeg po prawej stronie:
— Każdym dźwigiem,
Każdym młotem,
Każdym łomem
I kilofem,
Każdym świdra
Ostrym końcem
Budujemy
Dniepru słońce.

Rzekł do Dniepru człowiek: — A no,
Zamknę ciebie, Dnieprze, ścianą,

Aby
Żywił
Ujarmiony,
W dół
Spadając
Z górskich rzek,
Pchnął
Maszynny
I wagon
I
Pociągi
Puścił w bieg.

By
Żelaza,
Węgla,
Zboża
Pod dostatkiem
W kraju było,
Zabyło słońce
Zaporoża
Nad ojczyzną
Zaświeciło.

By,
Wiedziony
Plug traktorem,
Krajał ziemię
Gdzie się da
I
Po domach
By wieczorem
Było widno
jak za dnia.